Nr. 10 Poznan, Niedziela dnia 6 marca 1910. Rok XIV.

PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu a mianowicie:

przy	czteroraz. (miesięczn.)		„	15%.
„	kwartalnem	13 ×	„	25%.
„	półrocznem	26 ×	„	33⅓%.
„	rocznem	52 ×	„	50%.

Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. Telefon 87.

Obrazki-Liebiga

Zwracamy uwagę na zawarte asygnacye w słoikach LIEBIGA EKSTRAKCIE MIĘSNYM. 550



MEINEL & HEROLD,
401 fabryka harmonik
Klingenthal (Sachsen) nr. 181.
odstaw. uzn. za najl. harmoniki.
10 kl. 2 chór. 50 głos. 4,50 m. i 5,—
10 „ 3 „ 70 „ 6,— „ 17,—
10 „ 4 „ 90 „ 7,25 „ 19,—
Szkoła i kista z drzewa darmo.
2, 3, 4, 6 i 8 chórowe i 1, 2, 3, 4 rzędowe **harmoniki** w 200 m., dobre i tanie. Specyaln.: **Harmoniki na wzór wiedeński,** harm. ust., bandoniony. gitary, cytry gitarowe, skrzypce, cytry, okaryny, pozytywy, flety.
Gwarancya: Odbiór i zwrot pieniędzy. Przeszło 8000 urzęd. potw. listów dziękczynnych.
Główny katalog każdemu darmo.

Kompl. sztuciec kuchenny

tylko mk. 3,50 za zaliczką poczt. porto osobno się oblicza.

No. 65

składający się

z 6 **noży stołowych,** z jednego kawałka wykutych, piękn. nikl. i ozdob. rękojeść poler. na niebiesko. 6 **widelcy** piękn. ozdob. rękoj. o połysku podob. do srebra. 6 **łyżeczek** st. ł. stosow. z połysk. podob. do srebra 6 **łyżeczek do kawy** do tego stosowny napis: „dobrego apetytu“ (Guten Appeti), 1 **dobry nóż do kraj. chleba** dobrze zaostrzony. 1 **nóż kuchenny** i **przedm. do ostrzenia noży. 1 sztuciec koszykowy** jako dodatek gratisowy, 25X16X4 cm. wielkości z takie owanej plecionki drutowej.

E. v. d. Steinen & Cie.

fabryka wyrobów stalowych i dom wysyłkowy.

Wald p. Solingen 705

połowa natur: wielk.

Główny katalog naszych towarów za darmo i franko.

Pełczyńskiego



płyty gramofonowe z nagraniami

Pieśni kościelnych

powinny znajdować się w każdym domu polskim.

Rodzice katoliccy! w waszem ręku leży, by **dzieci wasze** się nauczyły śpiewać na chwałę Najwyższego.

Zamiast płyt, które nieraz zgorszenie szerzą wśród dzieci waszych, nabywajcie te płyty kościelne, bo one zdrową są strawą dla duszy dzieci waszych.

Spis płyt Pełczyńskiego.

410

(Serya I kościelna.

Tylko u mnie do nabycia. (Cena mk. 2 50 za dwustr. płytę.)

Pieśni wielkopostne.

K. 1 K. 2.	X. 334.	Ach mój Jezu. Wisi na krzyżu.
K. 3 K. 4	X. 335.	Dobra noc głowo święta. Krzyżu święty.
K. 5. K. 6.	X. 336.	Zawitaj Ukrzyżowany Jezu Chryste Panie miły.
K 7. K. 8.	X 337.	O duszo wszelka nabożna. Stała matka boleściwa
K. 9. K. 10.	X. 338.	Ojcze Boże Wszechmogący. Rozmyślajmy dziś.

Pieśni wielkanocne.

K 11. K, 12.	X. 339.	Chrystus z martwychwstan jest. Wstał Pan Chrystus z martwych ninie.
K. 13. K. 34.	X. 340	Wesoły nam dzień dziś nastał. Kiedy ranne wstają zorze.

Pieśni na Boże Ciało.

K. 15. K. 16.	X. 341.	Rzućmy się wszyscy społem. Witaj Boże utajony.
K. 17. K. 18.	X. 342.	Twoja cześć chwała. U drzwi Twoich.

Pieśni przygodne.

K. 19. K. 20.	X. 343.	Kto się w opiekę. Szczęśliwy kto sobie Patrona. (Pieśń do św. Józefa.
K. 21. K. 22.	X. 344.	Wszystkie nasze dzienne sprawy. Wszechmocny Panie.

Pieśni do Najśw. Maryi Panny.

K 23 K 24.	X. 345.	Serdeczna Matko. O Maryo, czemu biegniesz w niebo
K. 25. K. 26.	X. 346.	Nie opuszczaj nas. O której berła ląd i morze słucha.
K. 27. K. 28.	X. 347.	O Maryo, moja radość. Witaj Królowo, matko litości.
K. 29. K. 30	X. 348.	Gwiazdo morza. Witaj święta i poczęta.
K. 31. K. 32.	X. 349.	Matko niebieskiego Pana. O Maryo, matko Boga.

St. Pełczyński, Poznań, ul. Wodna 13.

Proszę wyciąć i zachować.

Codopiero otrzymaliśmy patent państwowy pod Nr. 218429 na suszarnią mydła „systemu“

62

Regera

Mydło Regera paczka funtowa **40 fenygów.**

Wielka obietnica
objawiona przez P. Jezusa.
Nowenna łask Boskich
zapewniająca dobrą śmierć każdemu, kto ją raz jeden w życiu godnie odprawi.
Z aprobatą kościel. 190 stron.
Cena 10 fen. z przes. 15 f.
10 sztuk z przes. za 1,30 m. zamawiać w
Księgarni Katolickiej,
Poznań. Jezuicka 5. za zaliczką lub pieniądze naprzód.

Klinika chirurgiczna.

Zakład medyko-mechaniczny.

Gabinet Röntgena.

POZNAŃ, ulica Lipowa 2, I.

Tel. 1400. 40

Dr. K. Nowakowski

lekarz-specyalista w chirurgii i ortopedyi.

Nr. 10. Poznań, dnia 6 marca 1910 r. Rok XV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97
Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

Nowy zwrot w sprawie wyborczej.



W dopisku dołączonym do artykułu naczelnego zamieszczonego w nr. 9 „Pracy" zaznaczyliśmy już pokrótce, jaki wynik dały uchwały komisyi rozpatrującej projekt t. zw. reformy wyborczej. Dopisek ten w jednym punkcie nie był trafny, a mianowicie co do stanowiska, jakie w tej sprawie zajął reprezentant Koła polskiego.

Otóż wniosek konserwatywno-centrowy, stabilizujący pośredniość, lecz równocześnie tajność głosowania, p zeszedł 16 głosami przeciw 8 głosom, przyczem reprezentant polski głosował razem z socyalistami, wolnomyślnymi i kilku liberałami przeciw wnioskowi.

Według uchwał komisyi więc mamy mieć do sejmu pruskiego tajny wybór walmanów. Ci zaś mają w jawnem głosowaniu obierać posłów.

Jaka jest geneza tej uchwały? Wiadomo, że centrowcy (razem z Polakami, wolnomyślnymi i socyalistami) są zdecydowanymi zwolennikami czteroprzymiotnikowego systemu wyborczego tj. powszechnego, równego, bezpośredniedniego i tajnego głosowania. Rząd w swym projekcie przyznawał powszechne i bezpośrednie, lecz zatrzymywał nierówne i jawne wybory.

Skutek był ten, że projekt rządowy nie zadowalał ani centrowców ani konserwatystów. Pierwszym wydawał się zbyt ograniczonym, drugim zbyt liberalnym. Zaczęto tedy w komisyi projekt poprawiać. Osiągnięto — jak w zeszłym numerze pisaliśmy — uchwałę, że wybory mają być bezpośrednie i tajne. Na bezpośredność wyborów konserwatyści zgodzili się tylko bardzo niechętnie. Tajność głosowania zaś przeszła nieznaczną większością przeciw woli konserwatystów. Ponieważ oprócz konserwatystów i rząd jest przeciwnikiem tajności wyborów, przeto nie było znaczniejszych widoków osiągnięcia zgody pełnej izby na tajność wyborów, a już zupełnie zdawało się wykluczonem, żeby izba panów tak zmieniony projekt przyjęła. Wobec takiego położenia rzeczy poczęli się centrowcy zastanawiać, czyby nie dało się drogą ustępstw wytargować zgodę konserwatystów na tajność wyborów. Przypuszczali bowiem, że z chwilą, gdy konserwatyści na tajne wybory się zgodzą, projekt wyborczy bez porównania lepsze będzie miał w plenum, w izbie panów i u rządu widoki powodzenia. Dyskusya dalsza pokazała też, że konserwatyści istotnie gotowi są do ustępstw w tej mierze, byleby tylko pośrednie wybory zachowane były. Ponieważ zaś centrowcy uważali w tajności wyborów większą zdobycz polityczną aniżeli w zniesieniu instytucyi walmanów, przeto oświadczyli się za zatrzymaniem walmanów, konserwatyści zaś zgodzili się na tajny wybór tychże.

Tak otóż powstała ta niespodziewana uchwała komisyjna, która tyle wrzawy sprawiła w świecie politycznym.

Jakie jest nasze wobec niej stanowisko?

Nasamprzód należy sobie uprzytomnić, co większą ma dla nas wartość: bezpośredniość, czy też tajność wyborów? Odpowiedź na to pytanie o tyle trudniejsza, o ile tajność wyborów według uchwał komisyi nie ma być zupełna, tylko połowiczna, gdyż tajność obowiązuje tylko przy wyborach walmanów, podczas gdy ci posła w jawnem obierają głosowaniu. Przez to zarządzenie nie usuwa się zupełnie teroryzmu wyborczego, lecz go się tylko ogranicza. Dotychczas mogli ludzie, którzy w tem mieli interes, teroryzować i walmanów i prawyborców; na przyszłość tylko walmani byliby narażeni na tę ewentualność. Z drugiej strony bezpośredność wyborów byłaby najprawdopodobniej ożywiła agitacyę wyborczą i zmobilizowała masy wyborcze, które dotychczas bardzo tylko niedostatecznie korzystały z przysługującego im prawa wyborczego. Jeżeli się jednak dobrze zastanowimy, to przyjdziemy do przekonania, że ten absenteizm wielkich mas ludowych przy akcie wyborczym był raczej wynikiem obawy przed umożliwionym wskutek jawności głosowania teroryzmem wyborczym, aniżeli skutkiem braknącego zainteresowania wyborami, które jako pośrednie nie elektryzują podobnie jak bezpośrednie wybory, gdzie wyborca wprost na posła głosuje i wcześniej się też o ostatecznym wyniku głosowania dowiaduje. Bardzo więc prawdopodobnem jest, że tajność wyborów tak samo (a może więcej nawet) jak projektowana pierwotnie bezpośredność wyborów, spowoduje wyborców do obfitszego korzystania z swych praw wyborczych, a zawsze ma tę ko-

rzyść, że chroni ich przed ingerencyą niepowołanych czynników. Jest wprawdzie obawa, że w niektórych miejscowościach trudno będzie o walmanów, którzyby przy ostatecznym wyborze posła nie zawahali się oddać głosu w myśl prawyborców, mamy tu na myśli obwód przemysłowy na G. Śląsku przedewszystkiem, lecz na ogół rzecz wziąwszy, zbyt czarno na tę sprawę zapatrywać się nie należy. Tak więc dochodzimy do przekonania, że uchwała kompromisowa, lubo jest pogorszeniem poprzednich uchwał komisyi, to jednak jest równocześnie pewnem polepszeniem projektu rządowego i to polepszeniem bądź co bądź tak znacznem, że warto stawić sobie dalsze pytanie, a mianowicie: czy wobec tego warto starać się o doprowadzenie naprawy wyborczej do skutku? Jesteśmy bowiem zdania, że lepiej byłoby rzucić rządowi przed nogi całą reformę i zostać przy dotychczasowym systemie, który dostarcza znakomitego materyału agitacyjnego, jak przyjmować mało znaczące ulepszenia i pozbawiać się przez to poważnego atutu w grze o istotną naprawę wyborczą. Co do nas, to dalecy jesteśmy od tego, aby nas uchwały komisyi zadowalały. Jeżeli jako minimum życzeń naszych stawiamy żądanie bezpośrednich i tajnych wyborów, a dalszym naszym celem jest zdobycie jeszcze wyborów równych, a więc zniesienie klas wyborczych, to rzecz jasna, że na uchwały komisyjne z wielce mieszanemi spoglądamy uczuciami. Z drugiej jednak strony zaznaczyć winniśmy, że bez porównania więcej jak bezpośredniość tajność cenimy wyborów. A ponieważ każde chociażby najostrożniejsze naruszenie zasady jawności wyborów ze strony konserwatystów jest dla zwolenników rzetelnej naprawy wyborczej pożądanym atutem i wielce znaczącem, symptomatycznem ustępstwem, ponieważ nadto po ewentualnem wprowadzeniu uchwał komisyi w życie pewnych dla siebie powinniśmy się doczekać korzyści, przeto nie będziemy upatrywali klęski ruchu reformistycznego w fakcie, jeżeli naprawa wyborcza w duchu omawianych tutaj uchwał komisyi stanie się ustawą. Niestety i to powiedzieć winniśmy, że nie jesteśmy dość optymistycznie usposobieni, aby w powodzenie tej sprawy (chociażby w tak niedostatecznej i połowicznej formie) uwierzyć. Jakkolwiek będzie, tyle zdaje się być rzeczą pewną, że uchwały komisyjne, a więc nadwerężenie ze strony konserwatystów zasady jawności głosowania, mają wielką wartość i doniosłe znaczenie. Warownia konserwatystów zaczyna się kruszyć...



Kandydatura robotnicza.

Komitet wyborczy na miasto Poznań postawił na pierwszem miejscu listy kandydackiej prawie jednogłośnie kandydaturę p. Stanisława Nowickiego i jego pragnie mieć spadkobiercą spuścizny poselskiej po panu mec. Chrzanowskim. O ile słychać w komitetach wiejskich poznańskich kandydatura p. Nowickiego nie cieszy się podobno zbytnią popularnością, natomiast ma tam wielkie szanse powodzenia kandydatura p. mec. Trąmpczyńskiego. Wobec tego trudno przewidzieć jak się ułożą ostatecznie szanse kandydatury robotniczej, reprezentowanej przez p. St. Nowickiego. Jak wiadomo rozstrzyga w tej mierze najwyższa władza wyborcza.

Tymczasem toczy się w prasie naszej dookoła kandydatury p. Nowickiego ożywiona dyskusya. Zwolennicy tej kandydatury podnoszą zalety p. Nowickiego i gorąco za nim agitują; przeciwnicy utrzymują, że p. Nowicki nie posiada należytych kwalifikacyj, uprawniających go do objęcia trudnego i odpowiedzialnego urzędu poselskiego. Nasze zdanie w sprawie kandydatury robotniczej dostatecznie jest czytelnikom znane. Ponieważ oświadczyliśmy się raz ze względów narodowych i politycznych za kandydaturą robotniczą i powiedzieliśmy, że oddamy pierwszeństwo każdej kandydaturze robotniczej przed każdą kandydaturą z innych stanów, przeto obecnie, gdy na porządek spraw wysunęła się kandydatura p. Nowickiego, za tąż kandydaturą się oświadczamy. Gdybyśmy do p. Nowickiego chcieli przykładać tę miarę, jaką się powinno mierzyć osoby ubiegające się o mandat poselski, natenczas być może, że pokazałyby się rozmaite wątpliwości. Jednakże takiej miary nie można stosować do kandydata robotniczego. My pytamy tylko, czy p. Nowicki intelektualnie i moralnie jest odpowiednim na posła materyałem to znaczy, czy są widoki, że przez pracę poselską z biegiem czasu tak się w swym zawodzie wydoskonalić może, że stanie się godnym i użytecznym reprezentantem warstwy robotniczej. Ponieważ pod tym względem mamy zaufanie do pana Nowickiego, przeto kandydaturę jego uważamy za odpowiednią. Zresztą należy brać wzgląd na życzenia samychże robotników, którzy w Poznaniu i wogóle wszędzie główny kontyngent wyborców stanowią, a o ile nam wiadoma gorąco kandydaturę p. Nowickiego popierają.

Pan Nowicki nie posiada wykształcenia wyższego, lecz jako człowiek praktycznej pracy potrafił sobie zdobyć zaufanie i szacunek szerszej publiczności, jest przytem przewodniczącym oddziału robotniczo-rzemieślniczego „Zjednoczenia Zawodowego Polskiego“ i na tem stanowisku pokazał, że pokładanego w nim zaufania nie zwykł zawodzić.

Nie dziwimy się bynajmniej, że kandydatura robotnicza wogóle, a kandydatura p. Nowickiego w szczególe spotyka się z dość silnym oporem w pewnych kołach naszego społeczeństwa. Jestto nowość zupełna i jak każda nowość budzi nieufność. Jednakże zaznaczyć trzeba, że inne stronnictwa nowość tę dawno u siebie zaprowadziły i to z dobrym skutkiem. Posłów robotniczych mają np. centrowcy i socyaliści i dobre z nimi robią doświadczenia. Także w dumie rosyjskiej i parlamencie austryackim zasiadają polscy posłowie ludowi. Dlaczegożby właśnie nasza dzielnica, gdzie oświata ludu stoi na bez porównania wyższym poziomie jak w dwóch bratnich zaborach, miała być pod tym względem upośledzoną? Materyał ludzki u nas bynajmniej nie gorszy jak gdziekolwiek indziej. Należy tylko zdobyć się na odwagę i zerwać z pewnemi uprzedzeniami i przesądami i nie stawiać do kandydatów robotniczych wyższych pretensyj jak do innych posłów.

Wykształcenie gimnazyalne i uniwersyteckie, dobre formy towarzyskie i inne akcesorya będące udziałem sfer wyższych bez wątpienia bardzo wielkie mają znaczenie. Lecz i szczera chęć do pracy, silna wola służenia umiłowanej sprawie i słuszna ambicya przy otwartej głowie także nie jest bez znaczenia, a doświadczenie życiowe, znajomości praktyczngo życia i specyalnych stosunków pewnej warstwy społecznej, wśród której się wzrosło i wśród której się życie strawiło, powinno zrównoważyć wiele braków wynikających z niedostatecznego teoretycznego przygotowania.

Nam kandydatura p. Nowickiego jest sympatyczna. Dla p. mec. Trąmpczyńskiego zaś, jeżeli tylko będzie chciał posłować, mandat z łatwością się znajdzie. Oddaje on zresztą dziś już społeczeństwu znakomite usługi w radzie miejskiej. Nie można więc twierdzić, że niepospolite zdolności p. Tr. są dla społeczeństwa stracone. Tymczasem dla posła robotnika obecnie wyjątkowo korzystna sposobność zwycięstwa się nastręcza. Nie dziw więc, że wszyscy szczerzy zwolennicy kandydatury ro-

botniczej dokładają wszystkich sił, by rzecz do pożądanego doprowadzić wyniku.



Bank Przemysłowców.

Bank Przemysłowców jest jak wiadomo największą polską spółką. Z małych w r. 1861 początków (udziały wynosiły wonczas 327 mrk., fundusz rezerwowy 238 mrk., depozyta 750 mrk., weksle 540 mrk.) rozwinęła się w czasie swego 49 letniego istnienia w potężną instytucyę finansową, na którą z dumą spogląda społeczeństwo polskie, a także u obcych budzi szacunek i uznanie. Aby uprzytomnić sobie, do jakich rozmiarów rozrosły się interesy banku, dość wskazać na następujące liczby: w r. 1909 było 5876 członków, udziały wynosiły 6834358 mrk., fundusze rezerwowe 738835 mk., depozyta 21 561 228 mrk., weksle 26 154 613 mrk.

Tak wielka instytucya finansowa potrzebuje oczywiście wielkiego aparatu administracyjnego i nadzorczego, a także doroczne walne zebrania, w rękach których spoczywają obszerne kompetencye wobec instytucyi, z każdym rokiem większe wśród członków i społeczeństwa znajdują zainteresowanie.

Ostatnie walne zebranie odbyło się pod przewodnictwem ks. prał. Wawrzyniaka 25-go z. m. na wielkiej sali Bazarowej. Z poszczególnych sprawozdań, z dyskusyi i z uchwał wynikało, że członkowie uznawają wzorowa administracyę spółki i do zarządu i rady nadzorczej z zupełnem odnoszą się zaufaniem.

Jednakże jak wszędzie, gdzie ludzie działają, tak i na walnem zebraniu Banku Przemysłowców uwydatniły się pewne niepożądane objawy, o których parę słów powiedzieć należy.

Jak wiadomo uzupełnia walne zebranie corocznie przez wybory skład rady nadzorczej. Ponieważ te pozycye są płatne, przeto znachodzi się dużo osób chętnych do objęcia tych posad. Wszczyna się więc już przed walnem zebraniem ożywiona agitacya. Tworzą się grupy członków, z których każda innych prezentuje kandydatów. Ostatnim razem takich list było 14 czy 15 nawet. Jasna rzecz, że wybór w takich razach często od ślepego przypadku, a przynajmniej od lepszego sposobu agitowania zależy. Tymczasem do rady nadzorczej tak wielkiej i poważnej instytucyi powinni wchodzić mężowie najlepsi i najdoświadczeńsi. Nasuwa się tedy pytanie, czy nie należałoby wyszukać jakiegoś sposobu, któryby, nie naruszając praw wyborczych członków, umożliwiał więcej prawidłowy sposób proponowania list kandydackich. Naszem zdaniem powinno się z reguły wybierać wylosowanych członków rady nadzorczej, gdyż ci mieli przez czas swego urzędowania sposobność należycie zapoznać się ze stosunkami i interesami spółki. Tymczasem za każdym razem uwydatnia się agitacya za nowymi kandydatami i lubo nie zawsze jest zwycięska, to przecież wnosi pewne zaniepokojenie wśród obecnych, których nie może nie niepokoić myśl, że przy sprzyjających warunkach mogą się dostać do rady nadzorczej jednostki nieodpowiednie. Ale tego życzyć by należało, aby światli członkowie odczuwający należycie odpowiedzialność, jaką przez głosowanie na siebie biorą, nie omijali walnych zebrań spółki, lecz i z praw im przysługujących korzystali.

Drugi moment niepożądany, to tame oratorskie popisy, obliczone na bezkrytyczność ludzką, a w treści swej nieścisłe. Twierdzono n. p., że rada nadzorcza odbywa czasami po 12 posiedzeń dziennie i dano przejrzyście do zrozumienia, że dzieje się to nie tyle z istotnej potrzeby banku, ile ze względu na pobierane za każde posiedzenie wynagrodzenie.

Twierdzenie to mogło istotnie podać radę nadzorczą w podejrzenie, że przy całej swej pieczołowitości dla banku nie spuszcza także z oka własnej materyalnej korzyści. Tymczasem w świetle prawdy rzecz przedstawia się tak, że pod koniec roku, gdy inwentura i taksacya wekslów i t. d. wymaga wielkiego nakładu pracy i czasu, zdarza się raz w roku, że rada nadzorcza w takim dniu **zmuszona jest** pracować kilkanaście godzin z rzędu. A ponieważ otrzymuje wynagrodzenie nie za godziny pracy, lecz za posiedzenia, przeto zmuszona jest dzielić pensum dzienne na tyle i tyle posiedzeń. Jest-to więc rzecz prosta zupełnie i sprawiedliwa i nie może dawać powodu do cienia zarzutu. Cała zresztą renumeracya rady nadzorczej, wynosząca 10 545 mrk., a dzieląca się pomiędzy 12 czonków, tak skromna jest, wziąwszy na uwagę olbrzymi obrót spółki, że dziwić się należy, że się tę pozycyę wogóle zaczepia.

Pominąwszy więc poruszone wyż momenty, przebieg walnego zebrania był rzeczowy i doprowadził do spodziewanych dodatnich wyników. Bank rozwija się prawidłowo i daje wszelkie możliwe gwarancye absolutnej pewności. Należy się za to uznanie wszystkim czynnikom, z których każdy na swojem miejscu sumiennie i umiejętnie spełnia przypadające nań obowiązki.



Na widowni.

Sezon wiosenny w polityce europejskiej rozpocznie się, jak to widoczne z różnych objawów prawie u każdego państwa, kłopotami wewnątrz własnego kraju.

W Prusiech będzie długo jeszcze na porządku dziennym reforma wyborcza; w Austryi rozpoczną się niedługo na dobre zachody około utworzenia nowego gabinetu; we Francyi nastąpią wybory, poczem nowy parlament ma zadecydować o ważnej reformie wyborczej; w Anglii gabinet Asquitha ledwie wyprosił sobie czterotygodniowy czas do życia w spokoju, odkładając za zgodą parlamentu na dzień 30 marca chwilę stanowczą, w której wystąpi z projektem reformy izby lordów; w Rosyi rząd się przygotowuje do stoczenia ostatniej walki z wielkiem księstwem finlandzkiem, aby mu odebrać resztę samodzielności.

Również Włochy i Hiszpania a nawet Portugalia zajęte sprawami wewnątrz kraju, zwłaszcza dwa państwa ostatnie, gdzie obaj młodzi monarchowie siedzą na tronach, ciągle się kołyszących.

Tylko jedynie małym państwom bałkańskim stać na zajmowanie się sprawami swych sąsiadów, co w polityce jest rzeczą najniebezpieczniejszą, ponieważ jak ludzie poszczególni nie lubią, gdy im ktoś obcy miesza się do spraw domowych, tak samo z narodami, gdzie wypadek podobny stanowić może casus belli!

Nie można mówić, aby państwa bałkańskie nie miały kłopotu dość we własnym kraju. Zapewne, że mają go poddostatkiem, wszakże wystarcza im czasu do mieszania się do spraw cudzych.

Do niedawna uważano Grecyę i Kretę za te punkta na horyzoncie politycznym, gdzie się najłatwiej mogą okazać chmury burzę zwiastujące,

dziś wszakże zwracają się oczy na północ od niej leżącą Bułgaryę i Macedonię.

Macedonia ma zacząć, Bułgarya dokończyć ów taniec ostatni z Turkami, na który już tak dawno czeka cały świat chrześciański.

W Sofii, w stolicy Bułgaryi na zebraniu publicznem powiedziano, iż Bułgarya, gdy zechce, może zatknąć krzyż na meczecie św. Zofii w Carogrodzie. Młoda armia bułgarska gotowa się zmierzyć z armią turecką.

Zdaje się, że niebezpieczeństwo tej wojny musiało być wielkie, kiedy hr. Aerenthal, austro-węgierski minister dla spraw zagranicznych, uznał za stosowne wyjechać do Berlina, aby naradzić się, co czynić należy obu mocarstwom.

Dzienniki wnoszą ztąd, że podróż nastąpiła w czasie tak niedogodnym dla kanclerza Bethmann-Hollwega, iż rzecz musiała być nagląca.

Jakoż wkrótce świat się dowiedział jak zadecydowano w Berlinie: Bułgarya może sobie wypowiedzieć wojnę Turcyi i bić się z nią do syta, wszakże po skończonej wojnie ani Bułgaryi ani Turcyi nie wolno przeprowadzić na półwyspie bałkańskim żadnych zmian terytoryalnych.

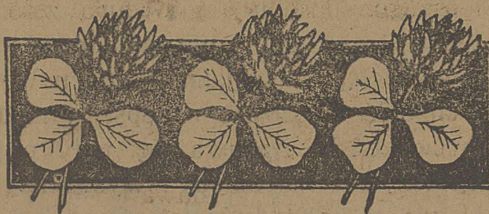
Niemcy i Austrya nie życzą sobie, aby np. Bułgarya miała uzyskać Macedonię, bo wówczas byłoby nie tak łatwo przeprowadzić obu tym państwom plany swoje w przyszłości, nie zgodzą się również na powiększenie Turcyi, z tych samych powodów.

Z polityki Niemiec widoczne, że mają one na razie plan własny dotyczący półwyspu bałkańskiego, obliczony wprawdzie na szereg lat, ale za to tem łatwiejszy do wykonania.

Po aneksyi Bośnii i Hercogowiny łatwiej będzie wzmacniać pomału wpływy niemieckie w Macedonii. Nie ulega żadnej wątpliwości, że tam wkrótce przez tz. wszechchorwackie, wszechbułgarskie, wszechserbskie i wszecharnauckie wpływy powiedzie się doprowadzić do walk zaciętych pomiędzy poszczególnemi narodowościami, co oczywiście tak osłabi znaczenie i powagę tych narodowości a nawet ich wiarę w siebie, że w końcu aneksya okaże się dobrodziejstwem.

W Turcyi mówią wszędzie, że zajęcie Macedonii z Soluniem przez Austryę jest tylko kwestyą niewielu lat.

Na razie do tego nie przyjdzie; to widoczne, ponieważ pora wydaje się dyplomatom nieodpowiednią do wszczynania wielkiej wojny, która byłaby następstwem naturalnem aneksyi.



Do Szanownych Komitetów Wyborczych miasta Poznania i powiatów poznańskiego wschodniego i poznańskiego zachodniego.

Po złożeniu mandatu poselskiego ze strony pana mecenasa Chrzanowskiego obwieścił już prezes rejencyjny poznański z poruczenia ministra spraw wewnętrznych, że odbyć się mają w I-szym poznańskim obwodzie wyborczym wybory uzupełniające.

Dzień wyborów naznaczony jest na *piątek dnia 8 kwietnia 1910 r.*

Wyłożenie spisów wyborczych rozpoczyna się dnia 10 marca rb.

Komisarzem wyborczym mianowano burmistrza poznańskiego Künzera, a zastępcą jego radcę miejskiego Lemmela.

Nastała ważna dla nas chwila, która rozstrzygnie, kto w samem środowisku odwiecznego życia polskiego, ma być naszym przedstawicielem w parlamencie niemieckim. Na Was, Wyborcy, spoglądać będą wszyscy rodacy, bo zwycięstwo Wasze doda nam otuchy na przyszłość, a klęska wywołałaby przygnębienie, z którego cieszyliby się tylko przeciwnicy nasi!

Nie zapoznajemy, iż system upośledzający nas od dziesiątek lat już wielkie w ciele naszem politycznem porobił szczerby. Jednakże mimo to zwyciężyć możemy i z pewnością też zwyciężymy, byleśmy jak jeden mąż stanęli do walki wyborczej.

Na ten cel potrzebne jest jak najdokładniejsze przygotowanie. Odzywamy się tedy do Szanownych Komitetów miasta Poznania i powiatów poznańskich wschodniego i zachodniego, aby jak wódz przezorny, podobnie i one zlustrowały swoje szeregi, zagrzewając je do karnego i solidarnego spełnienia obowiązku.

Wyborcy zaś, rozumiejąc ważność położenia, niechaj podążą licznie na wiece, aby tam ożywić ducha i okazać dojrzałość polityczną.

Wiece wyborcze w obwodzie wyborczym aż do ukończenia wyborów teraz bez przeszkody, nawet bez zgłoszenia policyi, odbywać się mogą w języku polskim, naszym rodzimym. Na nich więc nasz język bez zezwolenia władzy rozbrzmiewać może publicznie. Korzystajmy przeto odpowiednio z tego cennego czasu.

W myśl nowego regulaminu naszego wzywamy przeto tak Komitet miejski poznański, jako też komitety powiatowe poznański wschodni i poznański zachodni do zwoływania walnych zebrań wyborczych na podstawie przyjętego nowego podziału na obwody, celem postawienia kandydatów.

Poznań, dnia 28 lutego 1910.

Prowincyonalny Komitet Wyborczy na W. Ks. Poznańskie.

Stefan Cegielski, prezes. *Ks. Piotr Wawrzyniak*, wiceprezes.
Dr. Krysiewicz, sekretarz. *Michał Więckowski*, skarbnik.
Julian Brzeski. Władysław Grabski.
Dr. Kubacki. Ks. Mojzykiewicz.
Jan Żółtowski.



Koncert prof. Alex. Michałowskiego.

Pisząc w zeszłym numerze „Pracy“ o występie prof. Michałowskiego na uroczystości szopenowskiej w teatrze, powiedzieliśmy, że znakomity ten artysta należy do najlepszych interpretów Szopena. Czwartkowy koncert w Bazarze utwierdził nas w tem pochlebnem mniemaniu najzupełniej. Olśniewająca technika wirtuozowska, niezrównana miękkość uderzenia i głębokie odczucie i zrozumienie ducha kompozycyi — oto zasadnicze rysy sztuki Michałowskiego. Artysta posiada wszystkie warunki, aby olśniewać i poruszać swą publiczność, lecz woli poruszać serca jak olśniewać zmysły. Stąd ta powściągliwość w szafowaniu jaskrawemi efektami, któremi tak chętnie często ze szkodą kompozytora rzucają prestidigitatorzy fortepianowi nowoczesnej doby, nie troszcząc się zbytnio o pietyzm należny kompozytorowi i kompozycyi. Prof. Michałowski ma głęboką cześć dla twórcy, którego dzieła odtwarza, więc zagłębia się w jego myśl, odgaduje uczucia, które go poruszały i sam usuwając się na plan dalszy, dopuszcza do słowa samegoż kompozytora, którego wiernym i wymownym jest interpretem, pośrednikiem pomiędzy twórcą a publicznością. To też gra jego trwałe pozostawia wrażenie. Nie jestto gra wirtuoza, która oszołomia i oślepia blaskiem karkołomnej, bezdusznej techniki, lecz szlachetna gra prawdziwego muzyka, który przedewszystkiem treść muzyczną uwydatnia i w zmysłową sferę słyszalnych tonów transponuje ową transcendentalną pieśń,

która niesłyszalną dla nikogo harmonią w niepokalanej czystości i doskonałości, żeby się tak wyrazić jako halucynacya akustystyczna, przepełniała duszę kompozytora w chwili, gdy na papierze drgającą ręką kreślił owe falangi czarnych punktów i kresek pospolicie nutami nazwanych. Takiej muzyki słucha się najlepiej w salonie przy skąpem świetle świec woskowych. Nie powinny jej przerywać żadne oklaski, żadne oznaki zadowolenia. Cisza i półcień najlepszą dla niej oprawą. Tak lubił grać Szopen, który nienawidził rozwydrzonego żonglerstwem wirtuozowskiem tłumu przepełniającego sale koncertowe, tłumu, który tam przyszedł z ciekawości, dla mody, aby widzieć i być widzianym, tłumu, który po każdej hałaśliwszej produkcyi wpada w pląsawicę, a z zajęciem rozczytuje się w szeleszczących afiszach, gdy pełne czarownej poezyi pianissima spływają ze strun instrumentu...

I tak powiedzieć należy, że sala Bazarowa odpowiedniejszą była dla muzyki Michałowskiego jak teatr, gdzie lwia część najsubtelniejszych efektów ginęła za sceną. Także — nieszczególny zresztą — fortepian Bechsteinowski bez porównania lepiej w Bazarze się uwydatniał. To też maestrya i cała poezya gry Michałowskiego, mimo że artysta według własnego zeznania bardzo źle był dysponowany, dopiero na czwartkowym koncercie w pełnym zajaśniała blasku.

Oszczędzimy sobie odpisywanie programu. Co sądzimy o znakomitej grze Michałowskiego, to już z powyżej powiedzianego dostatecznie wynika. Jestto wielki mistrz wytworny, głęboki muzyk, który dzisiaj, jak sam o sobie mówi, zenit swej karyery wirtuozowskiej przekroczył i głównie pedagogiczne ma ambicye, lecz mimo wszystko pomiędzy najlepszych winien być zaliczony. Występy jego w Poznaniu dla znawców były prawdziwą ucztą. Publiczność na obu koncertach oklaskiwała go owacyjnie. Miejmy nadzieję, że szanowny artysta, który w Poznaniu grał po raz pierwszy, nie grał nam raz ostatni.

R.

W szczęście trudniejsza wiara, ale w nieszczęście któż z synów ziemi nie uwierzy?

Zygmunt Krasiński.

* * *

Biada tym narodom, które unosząc się nad tem, co zdobi i uprzyjemnia, zapominają o tem, co je przy życiu trzyma. *Józef Supiński.*

Z TEATRU.

Karol Gutzkow: Uriel Akosta.

Dramat, którym w zeszłą sobotę uraczono naszą publiczność, już za dawniejszych dyrekcyj dawany był w Poznaniu. Należy on do najlepszych i najbardziej znanych utworów scenicznych niefortunnego autora powieści „Wally“, która stała się powodem jedynej w swoim rodzaju uchwały parlamentu frankfurckiego, skazującej na konfiskatę i prześladowania nie tylko już wyszłe, lecz wszystkie mające się jeszcze w przyszłości pojawić dzieła grupy autorów, będących twórcami i filarami szkoły literackiej „Das junge Deutschland“, do której należeli pisarze tej miary, co Heine, Wienburg, Mundt, Börne, Laube, wspomniany wyż Gutzkow i i.

W tragedyi tej przedstawił autor walkę pomiędzy wiedzą a skostniałym dogmatem teologii żydowskiej i zużył ideę tolerancyi jako dźwignię wielce teatralnej i efektownej tragedyi miłosnej. Dramat Gutzkowa dziś już trochę myszką trąci, lecz odznacza się tylu zaletami scenicznej natury, a także co do trafnej i zręcznej charakterystyki poszczególnych figur niepoślednie zajmuje miejsce, iż dobrze zagrany jeszcze dziś na wielkie może liczyć powodzenie.

Na naszej scenie rzecz dzięki dobrej reżyseryi i dobrej grze artystów przedstawiała się pod każdym względem dodatnio. Tytułową rolę objął p. Werowski i zdołał dać nam w swym Urielu postać interesującą i budząca sympatyę. Artysta miał cały szereg szczęśliwych momentów, w których dosięgał wyżyn prawdziwego tragizmu. Bardzo pięknie wywiązała się z zadania p. Bogusińska jako Judyta. To samo należy powiedzieć o p. Królikowskiej, która matkę Uriela Akosty grała z wielką artystyczną powściągliwością. O panu Andruszewskim nie można niestety powiedzieć, żeby był szczególniejszych przyłożył starań jako de Santos. Natomiast bardzo dobry był p. Czaki jako Ben Akiba. Również p. Czerniak jako de Sylwa nic nie pozostawiał do życzenia. Pomniejsze role u pp. Kęckiego, Szatkowskiego, Borońskiego w odpowiednich były rękach. Także p. Jedlicz (Baruch Spinoza) zupełnie była na miejscu.

Publiczność, niezbyt licznie zebrana, śledziła przebieg dramatu i grę artystów z widocznem zajęciem.

R.





Koncert symfoniczny.

We wtorek odbył się we wspaniałej sali akademii w Poznaniu 6 koncert symfoniczny poznańskiego stowarzyszenia orkiestr.

Koncert rozpoczął się piątą symfonią E moll rosyjskiego kompozytora Piotra Czajkowskiego. Wspaniałe to — szczególniej w pierwszych dwóch częściach — dzieło muzyczne, obfitujące w mnóstwo pięknych, znakomicie rozwiniętych i logicznie powiązanych tematów, odznacza się wielką siłą ekspresyi, efektowną instrumentacyą i niepoślednią architektoniką muzyczną. Stosunkowo najsłabszą (mimo obfitego nagromadzenia potężnych fortissimów) była część czwarta.

Drugi numer wypełniły dwie pieśni d'Alberta odśpiewane przy towarzyszeniu orkiestry przez pannę Ernę Cornill. Sympatyczna artystka rozporządza szlachetnym, dobrze wyszkolonym głosem, którym we wszystkich pozycyach pewno operuje. Pieśni oddane były z wielką finezyą. Przepyszne było pianissimo w kołysance, podczas gdy w hymnie do Wenery znalazła artystka sposobność zaprezentować w całym blasku potężne wolumen swego wspaniałego i znakomicie postawionego głosu.

Punktem kulminacyjnym wieczoru był oczywiście występ p. Ignacego Friedmana. Znakomity artysta odegrał na skrzydle Blüthnera koncert op. II, E moll Szopena z towarzyszeniem orkiestry. Ten sam, za który w Krakowie otrzymał w darze srebrny wieniec. Pan Friedman dobrze znany jest publiczności naszej z kilkakrotnych występów w Poznaniu. Pamiętamy dobrze ten czas, kiedy artysta płynął pełnemi żaglami na bezpłodne wody błyskotliwego wirtuozostwa. Niezrównany technik, dla którego techniczne trudności jakby nie istniały, temperament bujny i porywający, gwałtowny w swych nieokiełznanych emanacyach, zaczął zatracać się Friedman w zewnętrznych efektach, za które rozentuzyazmowana publiczność kwitowała niemilknącemi salwami frenetycznych oklasków. Dziś jaka szczęśliwa zmiana w przedziwnej sztuce Friedmana! Stanął przed nami wielki mistrz, dojrzały prawdziwie męski talent, muzyk, który zdołał skojarzyć wybitny pierwiastek wirtuozowski z głębokiem i szczerem poczuciem muzycznem. To, co nam artysta zaprezentował we wtorek, zasługuje na miano prawdziwie

wielkiej sztuki. W najszlachetniejszym krysztale do nieprawdopodobieństwa wysubtelizowanej formy zewnętrznej perliło się szczere wino wysokiej treści. Interesującą rzeczą jest patrzeć na rozwój takiej wybitnej indywidualności artystycznej i śledzić poszczególne etapy tego zwycięskiego pochodu ku szczytom.

Zbyteczna dodawać, że artysta miał powodzenie nadzwyczajne. Oklaski zamilkły dopiero z chwilą, gdy artysta powtórnie zasiadł do fortepianu i nadprogramowym dodatkiem (wals 2. op. 64. Szopena) zrewanżował się za owacyjne brawa.

Uwerturą do Goldoniego komedyi: „Le baruffe Chiozotte“ Leona Sinigaglii, odegraną przez orkiestrę, zakończył się koncert. Nadmienić jeszcze należy, że orkiestra pod umiejętną dyrekcyą p. Adolfa Berdiena wywiązała się z zadania bardzo pięknie.

R.

Wiadomości.

— **Od dyrekcyi „Westy“ Banku wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu** odbieramy pismo następujące:

Ubiegły rok obrachunkowy 1909 daje obraz dalszego pomyślnego rozwoju naszej instytucyi i przyczynił się do znacznego przyrostu stanu zabezpieczeń.

Nowych wniosków było do załatwienia w roku 1909 — 907 na marek 2,694,078 sumy zabezpieczonej (w stosunku do 564 wniosków na marek 1,794,800 w roku 1908). Polis wygotowano 837 na marek 2,312,036 (w stosunku do 494 polis na marek 1,506,800 w roku 1908). Ogólny stan zabezpieczeń podniósł się w końcu roku 1909 na 6732 polis z sumą zabezpieczoną marek 15,327,257 w stosunku do 6355 i marek 14,000,286 w roku 1908. Czysty przyrost stanu zabezpieczeń wynosi zatem z końcem roku 1909 377 polis i marek 1,326,970 (w stosunku do 135 polis i marek 629,591 na końcu roku 1908).

Śmiertelność była korzystna. Wypłacono w roku 1909 po 106 członkach zmarłych marek 189,950 (w roku 1908 wypłacono marek 199,742).

Z powyższych liczb spodziewać się można dobrego finansowego rezultatu.

—**Dla biednego inwalidy** otrzymaliśmy w dalszym ciągu od pp. B. T. ze Szczuki 2 mrk., J. Kostyrera z Koenigswiesen pod Regensburgiem 2 mrk. Sumę tę odesłaliśmy biednemu inwalidzie, który za odebraną pierwszą ratę (40,80 mrk.) następujące nadesłał nam pokwitowanie:

40,80 mrk. odebrałem od Redakcyi „Pracy,“ Szanownej Redakcyi dziękuję serdecznie za pośrednictwo w mojem przykrem położeniu, jako i tym wszystkim, u których moje żebranie znalazło zlitowanie; niech im wszystkim Pan Bóg za to stokrotnie wynagrodzi, a przyszłości drogę kwiatem ściele.

Inwalida Michał G.

Nekrologia.

† **Ś. p. Antoni Echaust,** tajny radzca sprawiedliwości, dyrektor I. sądu ziemiańskiego w Berlinie, dawniejszy sędzia w Gnieźnie i Trzemesznie, umarł w Berlinie. Zmarły, mimo, że zajmował wysokie stanowisko w sądownictwie pruskiem, był dobrym Polakiem i gorącym patryotą. — **Ś. p. Konstancya z hr. Potulickich hrabina Zygmuntowa Skórzewska,** dnia 25-go z. m. w Poznaniu. Zmarła pozostawiła w żałobie dwóch synów i córkę, najstarszego syna hr. Włodzimierza, obecnego ordynata na Czerniejewie, księżnę Michałową Ogińską, zamieszkałą w Pomianach na Żmudzi i hr. Witolda na Lubostroniu, ożenionego z księżną Radziwiłłówną. Ogólnie szanowana matrona znaną była z wielkiej swej zacności, pobożności i dobroczynności. Szczodrą ręką koiła biedę i nędzę, gdzie tylko się o niej dowiedziała, to też słusznie o Zmarłej powiedzieć można, że celem jej życia były dobre uczynki. Zwłoki złożono w Czerniejewie w grobach rodzinnych dnia 2-go b. m. — **Ś. p. ks. Antoni Kowalski,** proboszcz w Skórzewie pod Poznaniem, rozstał się z tym światem nagle dnia 24-go z. m. w 42-gim roku życia. — Ś. p. ks. Kowalski cierpiał od dłuższego czasu na poważne rozdraźnienie nerwowe i dla poratowania zdrowia w roku ubiegłym dwukrotnie po kilka tygodni bawił w sanatoryum, lecz widocznie i pobyt w sanatoryum nie sprowadził spodziewanego zwrotu. — **Ś. p. Władysław Nieradziński,** budowniczy, dnia 22-go z. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Feliks Zielewicz,** dnia 23-go z. m. w Pakości, przeżywszy lat 76. — **Ś. p. Zofia Mroczkowska,** dnia 23-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 34. — **Ś. p. z Meyzów Jadwiga Sypniewska,** dnia 23-go z. m. w Mysłowicach na Górnym Śląsku, skończywszy lat 29. — **Ś. p. Leon Urbański,** dnia 24-go z. m. w Poznaniu w 28-mym roku życia. — **Ś. p. Józef Leszczyński,** weteran z roku 1863-go umarł dnia 18-go z. m. w Poznaniu w zakładzie Starców na Śródce, przeżywszy lat 74. Za staraniem obywatela p. Podgórskiego, mieszkającego na Śródce, miał ś. p. Józef Leszczyński przyzwoity pogrzeb. Kilku towarzyszy broni postępowało za trumną, ażeby oddać ostatnią przysługę swemu koledze. — **Ś. p. Ludwika z Lubeckich Hoffmannowa,** dnia 25-go z. m. w Kwilczu, przeżywszy lat 66 i pół. — **Ś. p. Józef Maciejewski,** towarzysz sztuki drukarskiej, dnia 25-go z. m. w Poznaniu w 31-szym roku życia. — **Ś. p. Michał Gardzielewski,** wielce szanowany obywatel, ojciec zmarłego zeszłego lata w Poznaniu malarza-artysty ś. p. Paulina Gardzielewskiego, umarł w Golubiu w Prusach Zachodnich. Ś. p. Michał Gardzielewski dotknięty tak ciężką stratą, niedługo opłakiwał śmierć jedynego syna, opatrzony św. Sakramentami, oddał ducha Bogu i spoczął w rodzinnych stronach. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu Karolowi W. D. w Wieliczce.** — Dzieł życzonych nie posiadamy. Za serdeczne pozdrowienie Bóg zapłać.

— **Pani Maryi K. w W. (Dolne Łużyce).** —Zamieściliśmy w dzisiejszym numerze.

— **Wieleb. Ks. Józefowi J. w Serecie (Bukowina).** — Rozwiązanie zagadki z numeru 7-go otrzymaliśmy za późno.

— **Panu Janowi M. w Poznaniu.** — Jest fundusz szczupły dla biedaków weteranów z roku 1863-go złożony przez ś. p. Ignacego Andrzejewskiego w Banku Przemysłowców w Poznaniu.

— **Panu W. w S.** — Notatki o zeszłoniedzielnych odczytach ludowych w Szamotułach nie mogliśmy zamieścić w numerze 9-tym na dzień 27-go z. m., gdyż odebraliśmy ją **za późno (25-go z. m.)** już po zupełnem wydrukowaniu odnośnego numeru.

— **Panu Józefowi S. w D. H. (na obczyźnie).** — Notatkę Szan. Pana chętnie uwzględnimy w dziale redakcyjnym, jeżeli Szan. Pan nadeśle stosowne ogłoszenie.

— **No 222.** — 1) Firma A. Rose w Poznaniu w Bazarze. 2) Nie wiemy. 3) Jest to obowiązek Zarządu każdej Spółki donosić sądowi odnośnemu o wstąpieniu lub też wystąpieniu członków czyli udziałowców ze Spółki. 4) Członek udziału swego, dopóki jest członkiem Spółki, sprzedać nie może.

— **Panu Piotrowi S. w Ch. pod Lidzbarkiem (Zach. Prusy).** — Prawnie pracodawca, więc w tym przypadku majster zobowiązany jest płacić do kasy chorych (Krankenkasse) jedną trzecią część, a pracobiorca, więc czeladnik dwie trzecie części składki. Jeżeli zaś majster płaci całą składkę, to zależy to od ugody, jaką zawarł z czeladnikiem.

— **Panu H. P. w T.** — Uznajemy dobre chęci Szan. Pana, podziwiamy nawet Jego odwagę, ale i tym razem odpowiadamy:

Że wierszyk „Kuszony“
Do kosza wrzucony.



Fryderyk Szopen.

(Ciąg dalszy).

Ten sposób życia w domu rodziców, otoczenie pełne swobody i niewymuszoności, umysły pogodne, musiały oddziaływać na małego jasnowłosego Frycka. Było to dziecko wątłe i blade, ale temperamentu bardzo żywego, dowcipne, bystre, a nadewszystko skłonne do figlów. A jednak na dnie duszy tej istoty, była już wtedy jedna struna o łzawym i smętnym tonie. Dla czego Frycek, ledwie doszedł do świadomości, słysząc muzykę, wpadał w płacz, tak, że trudno go było ukoić?... Rodzice uważali to z początku za wstręt do muzyki, później przekonali się, że było to nieświadome odczuwanie pieśni. Oto zadanie dla psychologów i filozofów.

Mały Frycek w tym wieku, kiedy inne dzieci zaledwie mówić zaczynają, drżał i płakał rzewnie, muzykę słysząc. Opowiadają, że często wlazłszy pod fortepian, wsłuchiwał się w brzęk strun, odzywających się echem każdemu stuknięciu w mieszkaniu. Pewnego razu w nocy, kiedy wszyscy już spali, wysunął się mały Frycek ze swego łóżeczka i poszedł do fortepianu, usiłując jednym paluszkiem wygrać sobie melodyę, grywaną najczęściej przez matkę.

Mając lat 7 zaczął się już uczyć na fortepianie razem ze starszą siostrą Ludwiką. Nauczycielem jego pierwszym i jedynym, był Wojciech Żywny, Czech z pochodzenia, nauczyciel muzyki z zawodu. Był to człowiek bardzo wesoły, ochoczy do zabawy, nauczyciel umiejętny, który zrozumiał dobrze swego ucznia. To było szczęście dla Szopena. Gdyby był trafił na zimnego pedagoga, zważającego tylko na reguły, liczącego tylko i mierzącego, jakich niestety tylu płacze się po świecie z marką „wielkości“ na czole, kto wie, czyby nazwisko Szopena znane było komukolwiek poza kołem najbliższych, kto wie, czy nie zatraciłaby się ta subtelna i wytworna indywidualność na zawsze.

Ów cichy, zapomniany nauczyciel mistrza tonów na niespożytą sobie u całego narodu naszego zasłużył wdzięczność, na taką wdzięczność, z jaką zawsze mówił o nim Szopen.

To też pod kierunkiem tego mądrego nauczyciela czynił Szopen olbrzymie postępy. W rok po rozpoczęciu nauki, zaczął już komponować, choć kompozycyi napisać nie umiał.



Fot. amat. Kajetan Kościński.

Tablica pamiątkowa Fryderyka Szopena odsłonięta dnia 22-go z. m. na dziedzińcu gmachu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu.

(Na granitowej tablicy znajduje się bronzowy medalion Szopena).

Wyręczał go w tem Żywny, a gdy dzieło było już spisane, wtedy Frycek przegrywał je z nut, poprawiał i oglądał. Nauczyciel słuchał natchnień dziecka, nie zasypywał go swoją uczonością, dlatego dusza Frycka biegła swoim własnym szlakiem, ku wielkiemu wspaniałemu celowi — genialnej twórczości.

W roku 1818, jako ośmioletni chłopiec, wystąpił Frycek po raz pierwszy publicznie na koncercie, danym na cel dobroczynny za staraniem Juliana Ursyna Niemcewicza. Szopen grał wtedy „Koncert Gyrowetza,“ wywołując powszechny zapał i zdumienie. Odtąd Szopen, jako „cudowne dziecko,“ opanował Warszawę. Mówiono o nim, chciano go widzieć i słyszeć. Frycek grywał w salonach wielkiego księcia Konstantego, a nawet ofiarował księciu ułożonego przez siebie marsza, który później książę kazał rozpisać na orkiestrę i grywać podczas parad na Saskim placu.

Tak dobiegł Szopen lat 14 i wstąpił do IV. klasy liceum warszawskiego. Uczył się średnio; w domu mało nad książką siadywał, przekładając nad nią fortepian; w szkole bywał zwykle roztargniony, zajęty swojemi myślami. Nie cierpiał języków klasycznych, natomiast ulubionym jego przedmiotem była historya i literatura. Miał także talent do rysunków. Rysował też karykatury, naturalnie najchętniej karykaturował profesorów, nie przepuszczając nawet i rektorowi Lindemu. Prócz tego posiadał niesłychaną zdolność mimiczną. Naśladował do złudzenia ruchy, gesty, sposób mówienia różnych osób. Ale czynił to z taką szczerą wesołością, bez cienia jakiejkolwiek złośliwości, że najdrażliwsi nawet nie gniewali się na niego, śmiejąc się serdecznie z swoich własnych karykatur. Miał też Szopen bardzo wielu serdecznych przyjaciół wśród literatów i artystów współczesnych. W pensyonacie rodziców był Szopen duszą wszystkich zabaw, urządzał najchętniej teatry amatorskie, w których z taką precyzyą wykonywał swoje role, że powszechnie przepowiadano mu świetną przyszłość, jako artyście

dramatycznemu. Raz nawet, razem z siostrą, napisał komedyjkę wierszem, p. t. „Omyłka, czyli mniemany filut,“ którą wystawiono u pp. Szopenów na imieniny ojca z wielkiem powodzeniem.

W muzyce postępował nadzwyczajnie — improwizował niewyczerpanie i okazywał ogromny zapał do komponowania. Żywny, choć sam był zwolennikiem muzyki klasycznej, choć ucznia utrzymywał ciągle w atmosferze harmonii Bacha i Cherubiniego, pozatem zostawił mu pełną swobodę w słuchaniu własnych jego natchnień i porywów. Dzięki zachęceniom Żywnego, oddali rodzice Fryderyka do konserwatoryum, gdzie pod osobistym kierunkiem Elsnera zaczął się uczyć kontrapunktu i kompozycyi. Elsner był sam kompozytorem oper, baletów, oratoryów, z których najlepszemi były: opera „Król Łokietek“ i oratoryum „Męka Jezusa Chrystusa.“ Do nauczycieli miał Szopen szczęście. Elsner poznał się na nim, zrozumiał odrazu jego duszę i rodzaj jego talentu i postanowił jedynie czuwać, aby ten bogaty talent nie skrzywił się, — zostawiając go zresztą swobodnemu rozwojowi. Kiedy nieraz pedanci zwracali Elsnerowi uwagę, że Szopen, grając, reguł się nie trzyma, że je poprostu lekceważy, Elsner trząsł głową i przepowiadał Szopenowi oryginalność, jakiej nikt dotychczas w takim stopniu nie posiadał.

Nie dziw, że przy takich nauczycielach dojrzał i rozwijał się taki uczeń. Ładnieby wyglądał Boży talent Szopena, gdyby się tak był dostał w ręce niektórych naszych współczesnych „stylowych“ nauczycieli, których uczniów można poznać po ukłonie i po ułożeniu nóg przy fortepianie!

Elsner, jako kompozytor, urabiał melodyę na motywach pieśni polskiej. Przez to budził zamiłowanie do ojczystej muzyki i zachęcał do pracy kompozytorskiej w tym kierunku. Nie ulega też wątpliwości, że pod tymwzględem wywarł Elsner wielki wpływ na Szopena, wpływ dobry i błogosławiony. Szopen rozmiłował się w melodyi ojczystej, śledził za nią, podsłuchiwał jej w śpiewie dziewcząt wiejskich, w tonach fujarki pastuszej, napełnił tą muzyką swoją duszę, przelewał ją później we wszystkie niemal swoje wiekie dzieła. Dlatego Szopen jest nawskroś polskim, narodowym kompozytorem.

Młodzieńcze lata Szopena upływały w niezamąconej pogodzie i swobodzie, co wywierało dodatni wpływ na rozwój jego umysłu i talentu. Lato spędzał zwykle na wsi w Służewie u Wodzińskich, których córeczka panna Marynia, pociągała ku sobie marzącą duszę poety-muzyka. Razem z Marynią biegali po ogrodzie, jeździli na spacery, razem bywali w kościele; wieczory poświęcali muzyce, gdyż Marynia Wodzińska posiadała wielki talent muzykalny i pięknie grywała na fortepianie. To też Szopen do końca życia wspominał rzewnie te chwile młodej miłości swojej, chwile marzeń promiennych i rozkosznych uniesień. W książce o Szopenie p. Hösicka przepięknie opowiedziane są te pełne poezyi dzieje młodzieńczych lat wielkiego kompozytora.

Bywał także Szopen w Szafarni, we wsi Dziewanowskich, gdzie w towarzystwie kolegi swego Dominika Dziewanowskiego, spędzał wesołe chwile. O nastroju duszy Szopena w tych czasach świadczy list jego pisany do Kolberga, datowany dnia 18-go sierpnia 1824.:

„Ja się też wcale nieźle bawię, a nietylko ty jeździsz na koniu, bo i ja umiem na nim siedzieć. Nie pytaj, czy dobrze, ale umiem przynajmniej tak, że koń, powoli gdzie chcę,idzie, a ja, jak małpa na niedźwiedziu, na nim ze strachem siedzę. Dotąd nie miałem jeszcze przypadku zlecenia, bo koń mnie nie zrzucił, ale... może kiedy zlecę, jeżeli mu się spodoba. Muchy mi często na wyniosłym nosie siadają, ale to mniejsza, bo to jest prawie zwyczajem tych natrętnych zwierzątek. Komary mne gryzą, ale i to mniejsza, bo nie w nos. Biegam po ogrodzie, a czasem chodzę. Chodzę do czasu, a czasem jeżdżę, notabene nie na koniu, lecz w bryczce, w koczu lub w karecie, z takimi jednak honorami, że zawsze na tyle siadam, a nigdy na przodku.“

W Warszawie Szopen wszystkie wolne chwile poświęcał muzyce i kompozycyi, która zyskiwała pochwały znawców i rozsławiała jego imię. Skomponował „Rondo C-moll,“ które dedykował pani rektorowej Lindowej. W tym czasie koncertował przed cesarzem Aleksandrem I w Warszawie. Monarcha wyraził uznanie 15-letniemu Szopenowi za grę niepospolitą i obdarzył go brylantowym pierścieniem.

W sierpniu 1827 r., zdał Szopen ostateczny egzamin w liceum z niezbyt dobrym postępem, bo też nie była to głowa, pełna tonów i poetyckich marzeń, sposobną do suchej nauki, której wartości w całości nie uznawał.

Po egzaminach wyjechał w Poznańskie do Antonina, siedziby letniej ks. Antoniego Radziwiłła. Tu znowu rozkoszne spędzał chwile w towarzystwie księżniczek Elizy i Wandy, cały oddany muzyce, otoczony uznaniem i uwielbieniem.

Po powrocie Szopena do Warszawy, Elsner, jego ukochany nauczyciel, wyraził stanowcze zdanie, że Szopen tylko muzyce poświęcić się winien. Tak się też stało. Odtąd Szopen całą swoją duszę oddał ukochanej sztuce, bywał w teatrze, obracał się ciągle w towarzystwie artystów i literatów.

W kawiarni Brzezickiej w Warszawie, na rogu ulicy Koziej i Krakowskiego Przedmieścia, zbierała się ówczesna młódź artystyczna: Konstanty Gaszyński, Stefan Witwicki, Bohdan Zaleski, Maurycy Mochnacki, Szopen i inni.

Piękno, dobro i cnota były to cele uczestników. Na tych zebraniach nie pito „absyntu“; poeci deklamowali wiersze, Mochnacki i Szopen grali na fortepianie i tak płynęły wieczory, o których wspominał później Bohdan Zaleski.

W tej atmosferze budzącego się romantyzmu, kąpał się duch Szopena, zasiliła się jego twórczość. W tym czasie skomponował „Trio-C-moll“ i kilka innych mniejszych utworów.

We wrześniu 1828 r. wyjechał Szopen w towarzystwie profesora uniwersytetu warszawskiego Jarockiego, do Berlina. Berlin, a zwłaszcza teatry berlińskie, zrobiły na Szopenie wrażenie nie małe. Co wieczór bywał na przedstawieniach lub też uczęszczał na posiedzenia do „Singacademie.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Dr. Stanisław Łabendziński.

Wykłady popularne.

V. B.

Jakie największe wywyższenia i zagłębienia na kuli ziemskiej są znane?

Największe wywyższenia (góry) i zagłębienia (dna mórz) na ziemi, są, jako nie przekraczające wiele ponad milę w jednym i drugim kierunku, dość, jak już wiemy, znikomemi w porównaniu z przestrzenią, oddzielającą powierzchnię kuli ziemskiej od jej środka. Są one tylko nieznacznemi nierównościami na tej wielkiej bryle kulistej, którą zamieszkujemy, i możnaby je porównać ze zmarszczkami na jabłku, tembardziej, że i góry i doliny na powierzchni ziemi w podobny sposób, przez ściąganie się powłoki, powstały i obecnie jeszcze się tworzą. W tym samym bowiem stopniu, jak jądro kuli ziemskiej, które to, jak już

wiemy, z powodu wysokiej swej temperatury w płynnym znajduje się stanie, zwolna przez promieniowanie na zewnątrz stygnie i się kurczy, w tym samym też stopniu kurczy się stała jej powłoka (pokłady ziemi) i jako zbyt wielka pokrywa fałduje się i stwarza nierówności, które nam przedstawiają się jako góry i doliny, z których ostatnie wypełnione są wodą i zajmują powierzchnię naszych mórz i oceanów. W ten sposób w czasie niezmierzonych epok geologicznych góry i morza na ziemi się wytwarzały, naturalnie w nieskończenie powolny sposób, tak że nietylko okiem, lecz nawet wyczulonemi przyrządami fizykalno-naukowemi zmian tych wyśledzić nie zdołamy.

Mimo jednak, że różnice w poziomie przez góry i morza tak nikłe są nietyko wobec wszechświata, lecz także wobec samej kuli ziemskiej, że je z zmarszczkami na skórce jabłka porównać można, dla nas, istot ludzkich, rozmiary ich są tak olbrzymie, że oznaczenie wielkości ich z ogromnemi połączone jest trudnościami. W górach niski stan barometryczny (ciśnienia) powietrza, spowodywujący krwiotoki, a nawet śmierć, w głębi morza niezmierne ciśnienie ogromnej warstwy wody i brak powietrza utrudniają człowiekowi w wysokim stopniu zbadanie i zmierzenie wywyższeń i zgłębień ziemskich. Dość powiedzieć, że nietylko na najwyższym szczycie górskim na ziemi, na górze Gaurisankar, albo Mt. Everest w paśmie Himalajów w Azyi, na 8840 metrów ponad poziom morza wzniesionym, lecz i na daleko od niego niższych, nawet na najwyższej górze w Europie, Mt. Blanc, ludzie tylko zupełnie zdrowi i ci tylko przez krótki czas na nich przebywać mogą. Z drugiej znów strony w głębiny morkie nurkowie nie niżej ponad kilkaset metrów spuszczać się mogą, gdyż człowiek nawet przy sztucznym dopływie tlenu długo tu oddychać swobodnie nie może. Tak więc wygląd najwyższych szczytów ziemskich jako też w większej mierze głębin morskich na długo jeszcze pozostanie dla nas zagadką, i tylko pomiary wierzchołków za pomocą trygonometrycznego obliczenia lub t. zw. aneroidów, przy których to przyrządach fizykalnych na mocy oznaczenia ciśnienia barometrycznego oznacza się wysokość wzniesienia, a głębin morskich za pomocą obciążonej u spodu linki stalowej, spuszczanej z okrętu w głąb morza, uskutecznić zdołano dotąd dokładnie.


Tadeusz Popiel
Poranek.
Ze Salnonu „Stowarzyszenia Artystów“ w Poznaniu.

Oprócz pasma Himalajów, wzniesionego w szczycie Gaurisankar aż na przeszło milę w górę znajdujemy w Azyi kilka równorzędnych pasm górskich (Kwenlun, Tienszan, Altai), nie wznoszących się jednak już wiele ponad 6000 metrów. W Ameryce północnej, w ciągnącem się na zachodniem wybrzeżu paśmie gór Skalistych, góra św. Eliasza dochodzi do tej samej wysokości, a w Ameryce południowej, gdzie Kordyliery dalszy stanowią ciąg gór Skalistych, i w całej rozciągłości wybrzeżu zachodniemu południowo amerykańskiemu towarzyszą, szczyty Aconcagna i Chimboraso do nieco wyższych wznoszą się jeszcze wysokości. W Afryce góry Kilimandżaro i Kenia również do 6000 metrów wysokości dochodzą, i mimo, że leżą przy samym równiku, a więc w najgorętszych strefach na ziemi, wiecznym pokryte są śniegiem. Góra Kameruńka zaś leżąca w posiadłościach kolonij niemieckich, nie wiele przekracza 4000 metrów. W Australii łańcuch górski, ciągnący się po wschodniem wybrzeżu, ma swój najwyższy szczyt w wierzchołku, nazwanym na cześć bohatyra naszego narodowego górą Kościuszki, i wznosi się również na przeszło 4000 metrów. W Europie wreszcie najwyższe szczyty znajdujemy w Alpach, i to na pograniczu francuskiem, z których do najpokaźniejszych wzniesień dochodzą Mt. Blanc i Mt. Rosa, z których pierwsza mierzy 4810 metrów ponad poziom morza. Właściwie jednak Alpy nie są najwyższemi górami w Europie, gdyż Kaukaz, leżący między morzem Czarnem i Kaspijskiem w południowej Rosyi, w Elbrusie i Kasbeku dochodzi do przeszło 5 tysięcy metrów. Po za Kaukazem i Alpami w Europie najwyższemi pasmami gór są Pireneje na pograniczu francusko - hiszpańskiem, oraz osobno stojące góry Etna na Sycylii i Olymp na Bałkanie, dochodzące do przeszło 3 tysięcy metrów. Niższe są Tatry, których najwyższy wierzchołek, Garłuch, wzniósł się na tylko 2560 metrów.

Z głębin morskich najpokaźniejsze zmierzono w oceanie Wielkim czyli Spokojnym, w bliskości wybrzeża Japonii. Przekraczają one tam 9000 metrów. Lecz i w Atlantyku i oceanie Indyjskim wielkie spostrzeżono głębie, dochodzące niemal mili. Morza podbiegunowe (lodowate) również wykazują wielkie głębie, przekraczające kilka tysięcy metrów, z drugiej znów strony w okolicach równika napotykamy w oceanie Atlantyckim wielkie mielizny, świadczące o dawniejszem połączeniu Ameryki południowej z Afryką. Również niektóre morza Europejskie, jak bałtyckie i Kaspijskie niepokaźne tylko wykazują głębokości, rzadko przekraczające sto metrów, tak że utworzenie się ich dopiero w najnowszej epoce geologicznej, podyluwialnej, jest prawdopodobne. Płytkość Bałtyku tłómaczy nam też dziwny pochód lodowców skandynawskich i finlandzkich przez Niemcy, Polskę i Rosyę, aż het niemal do Karpat, któremu to okresowi lodowcowemu u nas Bałtyk prawdopodobnie dopiero swoje powstanie zawdzięcza.

Ten co się pochyla do końca swego zawodu, nie lubi tego słowa: na długo. Pochodnia jego nadziei nie przyświeca na metę daleką; kres oddalony zawsze dlań czarny, jak dno przepaści, jak otchłań wieczności. Myślę czasem, czy nie marnujemy dobrowolnie szczęścia, odpychając to, którego nam Bóg udziela, a lecąc za niedoścignionem...

Ewa Felińska.





Generał Ludwik Bogusławski.

(Patrz: obraz albumowy).

Dnia 25 lutego minęła 79 rocznica wiekopomnej, krwawej, zaciętej bitwy stoczonej na polach Grochowa pod Warszawą między armią polską a zastępami cara północy.

Wiekopomnej,! — bo historya mało zna przykładów, aby niespełna trzydzieści tysięcy ludzi odparło w otwartem polu regularną armię stopięćdziesiąt tysięcy głów liczącą, równie dobrze wyćwiczoną i uzbrojoną. Ale też w wojsku polskiem walczyli wszyscy jak bohaterowie, od naczelnego wodza aż do ostatniego dobosza, z hasłem „zwyciężyć lub umrzeć za Ojczyznę“, nie ogrom potęgi przeciwnika, lecz ogrom krzywd Ojczyźnie przez najezdców wyrządzonych mając na uwadze.

Kluczem pozycyi był niewielki lasek olszowy, a od utrzymania lub zdobycia tegoż zależnym był wynik bitwy. To też Rosyanie całemi dywizyami atakowali olszynkę, której znów Polacy z niezmierną zaciętością bronili.

W walce tej okrył się wiekopomną sławą pułk czwarty piechoty liniowej, który, zachęcony zimną odwagą i imponującem męstwem swego wodza, pułkownika Ludwika Bogusławskiego, którego portret dajemy na rycinie albumowej, cudów waleczności dokazywał. Pułk ten, wierny swej przysiędze. że tylko „z bagnetem w ręku pójdzie w świętą sprawę“, odpierał zwycięsko ataki brygad a nawet dywizyi, i wszelkie wysiłki wojsk rosyjskich rozbijały się o mur bagnetów i męstwo wspomnianego pułku. A wszędzie, gdzie walka była najwięcej zaciętą i największe groziło niebezpieczeństwo, widniała bohaterska postać pułkownika Bogusławskiego, który obiegając szeregi, żołnierzy do walki zachęcał i w ogień prowadził. Bo dowódzcy polscy, czując wielkość i trudność chwili, nadstawiali swe osoby, pragnąc w ten sposób świecić żołnierzom przykładem.

Mimo że w początkach powstania generał Bogusławski przeciwnym był, jak wszyscy starsi oficerowie, rewolucyi i wojnie z Rosyą, wypełniał przecież. skoro wojna stała się nieuniknioną, sumiennie obowiązki żołnierza i wodza. A bitwy pod Dobrem. Grochowem, pod Ostrołęką i Warszawą świadczą o poświęceniu się jego. o waleczności i bohaterstwie. Wytrwał on też „usque ad finem“ i opuścił armią wtenczas dopiero, skoro resztki tejże na terytoryum pruskie przekraczać miały.

Generał Prądzyński opisuje nam Bogusławskiego w następujących słowach:

„Noc 29 listopada zastała generała Bogusławskiego pułkownikiem, dowódcą 4-go pułku piechoty liniowej, który tak czynnie do powstania należał. W dniu powstania część 4-go pułku trzymała, jak wiadomo, warty w mieście, reszta była w swoich koszarach na Zakroczymskiej ulicy, mała część po kwaterach w blizkości. Gdy się wszczął rozruch w mieście, Bogusławski biegnie do swoich koszar, w których zastaje doboszy, bijących generałmarsz i żołnierzy, wybiegających w zupełnym rynsztunku na dziedziniec, gdzie ich młodzi oficerowie szykowali. Bogusławski fuknął z góry: „Kto do stu dyabłów kazał występować? Kto kazał bębnić?“ Młodzi oficerowie oświadczają swemu dowódcy, że ojczyzna wzywa, i zapraszają go, ażeby stawał na ich czele. Bogusławski stawa w bramie i oświadcza, że tylko po jego trupie buntownicy z koszar wyjdą. Młodzież rozkazuje na nowo bić w bębny i cały batalion uderza w bramę, wywraca swojego pułkownika i po nim przechodząc, spieszy na miasto. Bogusławski potłuczony, okryty kontuzyami przychodzi powoli do siebie, zbiera resztki swego pułku, tych zwłaszcza, co się z kwater ściągali i z tą garstką wiernych udaje się do swojej kwatery na rogu Zakroczymskiej ulicy i Nowomiejskiego rynku, w starodawnym domu, podobnym do baszty. Tam tarasuje się i sposobi do obrony. Nazajutrz przybywa Zaliwski na czele znacznej zgrai; wzywają Bogusławskiego, ażeby się łączył z powstaniem, lub też się poddał. Gdy atoli nie następuje pożądany skutek, radzą o przypuszczeniu szturmu do owego domu, co jednak nie stało się. Dopiero gdy rząd mianował Chłopickiego dowódcą siły zbrojnej, na tego wezwanie udał się Bogusławski na plac Marsowy i objął na nowo dowództwo swojego pułku, na który atoli rozjątrzone serce za noc 29 listopada już się nie zagoiło. Gdy przyszło do wojny, Bogusławski mówił sam w sobie, ściągając to do pułku: „Hultaje, chcieliście rewolucyi i wojny, otóż będziecie ją mieli.“ Wiadomo, jak w całej wojnie 4-ty pułk walecznie się potykał. W każdej potrzebie odpowiedział godnie swojemu mężnemu dowódcy, który go z żółcią w sercu w najgłębszy prowadził ogień. To też z przeszło półtora tysiąca głów, które przy rozpoczęciu powstania pułk ten składały, zaledwie 200 do Prus wchodziło, reszta poległa w grochowskiej Olszynie, pod Ostrołęką i na Czystem pod Wolskiemi rogatkami. Taki zaś był natłok do niego, że wojna około 3000 ludzi przepytlowała przez szeregi 4-go pułku piechoty liniowej.“

Lucyan Osten.



Tadeusz Popiel.
Mater dolorosa.
Ze Salonu „Stowarzyszenia Artystów w Poznaniu.



Zapomniany lud polski.

Napisał
G. SMÓLSKI.

(Ciąg dalszy).

Przejdźmy na Orawę, która tworzy geograficznie dalszy ciąg wyżyny nowotarskiej czyli Podhala.

Oto orawska próba gwarowa:

Beł roz jeden sałas a ten beł zaklenty. Maiciele tego sałasu belibe, radzi tek kuźlików, którzi tam garaździli na tem sałasie z niego wegnać a ten sałas wysłobodzić. I ślubili temu dobro odmianę, kto ten sałas be osłobodził. I nasel sie jeden cegon, który sie prześlubiuł, ze tak kuźlików z tego salasu wizen. I przisel ten cegon na ten sałas i pocom robić z kuźlokami palalo i kazał tem kuźlokom aby sie probowali z nim. Zasel sie z pomiędzi nik jeden, ktory był gotowem sie sprobować. I kazoł ten cegon temu kuźlokowi, abe ścisnoł skałe tak, ze jaze mliko z niej pudzie. Jezeli tego nie urobi, ze sałasu westompić musi. I wzion kuźlok skałe, ścisnoł jo tak, ze sie mu na proch w garści obróciła — ale mlika nie wecisnoł. Potem ścisкoł cegon, ale zamast skałe wzion kęs sera, ścisnoł i puścilo sie z niego mleko. I widział kuźlok, ze nic wekonać nie mug, ale ze sałasu sie mu jesce iść nie kanto, ale wołał cegona, aby śli woba trześnie webierać. I przyśli ku jednej

trześni, powiedzioł kuźlok, kto więce trześni naobiere, tego sałas bedzie. I poceli webierać, kuźlok rafał z pazdurzyskami i z liściami, ze sećkom — i beli jesce na wierchu trześni, które nie mug ze ziemi dostac, wzion kuźlok za wierch, przegion ku ziemi i dał przi dzierzić cegonowi, tu kuźlok puściuł, ta rano kuźlakom a speto sie ik jako spali? Oni mu powiedzieli, ze dobrze. A teś jako społ? spetajo sie go. On powiedzioł, ze dobrze, ale ze sie mu zdało jakoby go da kto beł dwa alebo trzi razy bicem przepasoł i siebnoł. Tu juz kuźloce ścierpli i tak musieli sałas zaniechać a cegon mioł wegrane.



Polskie „Kisuczanki“ w Trenczyńskiem.

miło trześnia sie weprostuciła a cegona przechodziła wesoko a zachodziła daleko, ale spod tak, ze mu sie nic nie stało. I zawołał na kuźlaka: widzis, teś naobieroł trześni, ale teroz przeskoc temi trzesniami, tak jako jo przeskocuł. I kuźlok nie mug sie na to odwazić. Ale nie belo na tem doś. I mieli kuźloce na tym salasie jedne wielko centowo ze lezne kijoń. I powiedzioł kuźlok: kto weze te kijoń wchodzi i tego ten sałas bedzie. I powiedzioł cegon: hodaj te pierwej. Wzion kuźlok kijoń, wchodził wesoko ze jaze na trzeci dzień spod na ziem a wbił sie tak do ziemi, ze go malo widno było. Tu cegon sie wobował, ze na to tego nie urobi, a w tem chodzi około tej kijanie i poziero na te kijoń a zaś hore do nieba. I spetoł sie kuźlok tego cegona, co tak hładzi hore do obłokow a nie wehadzuje tej kijonie. I powiedzioł, że przeto hladzi do nieba, ze tam mo brata a ze kiele kijoń wehodzi, ten brat te kijoń dołapie, a juz je nie puści na ziem. I kuźlok sie zlink o kijoń i nie doł je wyhodzieć cegonowi. Tu juz nie wiedzieli co se pocone z cegonem, a uradzili sie, ze w nocy, ke będzie społ, porumbajo go a tak sie od cegona osłobodzą. Ale miły cegon to posłysał te rzec, zeblok sie i woblik te jedne berwine a przeprawiuł te berwine tak, ze wyzierała jako ten cegon a un sie schował. Tu w noci weźnie kuźlok s[illegible]re, a idzie tam, gdzie lezoł ten przeoblecony cegon. Jak wezme rombać, jaze poromboł do znaku. Tu kuźloce bele w radości, ze sie juz cegona pozbawili. Ale rano przidzie cegon i powi dobre

W opowieści powyższej prawie czysta gwara podhalska.

W żupaństwie trenczyńskiem, orawskiem i spiskiem wynosi liczba polskiej ludności prawie 200 000 dusz. Wogóle zaś żywioł polski najsilniejszy na Orawie, w północnej części kraju i na Spiżu.

W Liptowie określają źródła czeskie liczbę ludności polskiej około 15,000 dusz. Żupaństwo to nie było dotychczas badane przez polskich językoznawców. Przekonany jestem, iż tu, jak już z położenia tej ziemi wnioskować można, liczba ta jest znacznie większa. Ludność polska tworzy tu wśród Słowaków dwie większe wyspy językowe.

Mylnem jest twierdzenie Czechów, iż gwary słowackie należą do rodziny języka czeskiego, co łatwo próbami gwarowemi można udowodnić. Gwary słowackie wogóle są daleko bliższe polszczyźnie. Dzielą się one na 3 grupy: na zachodnio-słowackie narzecza, na środkowe i na wschodnio-słowackie gwary ludowe, które Hodza, jeden z twórców słowackiego języka piśmiennego i taka powaga naukowa jak Szafarzyk zowią wyraźnie *„polsko-słowackiemi“*. Inaczej nieco ma się rzecz z słowackim językiem piśmiennym, utworzonym wprawdzie dla wyparcia czeszczyzny z piśmiennictwa słowackiego, lecz niewolniczo niemal wzorowanym na czeszczyźnie pod względem głosowni, tak dalece, iż nie jest on w stanie swojemi głoskami oddać dźwięków gwar ludowych słowackich, które to dźwięki przeważnie są polskie. Prawie wszystkie słowackie narzecza posiadają nasze brzmienie: *dz, dź, ć, ś, ł*, na co brak znaków zgłoskowych w piśmienności słowackiej. Za podstawę słowackiego języka piśmiennego wzięto gwary środkowe, mianowicie narzecze turczańskie. Na miejscu, w Turczańskim Świętym Marcinie, duchowej stolicy stowarzyszeń, miałem sposobność przekonać się osobiście, jak dalece ten język piśmienny różni się od miejscowej gwary ludowej. Przechadzając się po mieście spostrzegłem przy jednym sklepie następujący napis:

„Zposredkuje osadzanie obrazow do ramow okladanie za szklo a naprawianie obrazow lacno a rychlo.“

— To po polsku! — pomyślałem sobie, mając na uwadze, że lud w całej okolicy wymawia najwyraźniej *ł*. Gdy wieczorem znajdując się w gronie literatów słowackich, odczytałem im rzeczony napis z uwagą, iż to prawie byłoby po polsku, gdyby zamiast wyrazu *„zposredkuje“* stało *„pośredniczy“*, uśmiechnął się na to jeden z obecnych, językoznawca słowacki, mówiąc:

— Ten jeden wyraz zaczerpnięty tylko z naszego języka piśmiennego, reszta wszystko w turczańskiej mowie ludowej.

W kierunku wschodnim zaczynają się tak zwane „wschodnio-słowackie“ narzecza, różniące się bardzo znacznie pod każdym względem od słowackiego



Chłopcy polscy w drodze do szkoły madziarskiej.

języka piśmiennego, jako też ruskie narzecza *Lemkow* już na Spiżu, obejmując, dalej żupaństwa *Szarysę, Abani, Torna, Ziemlin i Ung*. Lud słowacki tych żupaństw zowie siebie dla odróżnienia od prawdziwych Słowaków *„Słowiakami“*, a tak samo zowią siebie Łemki *„Słowiakami“* dla odróżnienia od Sło-

waków i Rusinów bardziej wschodnich żupaństw jak *Bereg i Marmarosz*, gdzie odmienna zupełnie istnieje gwara ruska. O *„Słowiaków“* tych toczy się pomiędzy Słowakami a Rusinami spór, Słowacy reklamują ich dla siebie dowodząc, iż gwara ruskich „Słowiaków“ nie jest właściwie ruska, a obrządek grecko-katolicki będąc na Słowaczyźnie spuścizną słowiańskiego obrządku cyryllo-metodyjskiego bynajmniej ruskiej narodowości nie dowodzi — znowu Rusini przytaczają dowody, że gwary słowackich *„Słowiaków“* bynajmniej nie są słowackie. Jedni i drudzy mają słuszność. Gwary *„słowiackie“* nie są ani słowackie, ani ruskie, *tylko polskie*, naturalnie zepsute wpływem czeszczyzny, słowaczyżny i ruszczyzny.

W Koszycach zdarzył mi się następujący bardzo znamienny pod tym względem wypadek. Przybywszy przed laty po raz pierwszy do tego miasta późnym wieczorem, zdążałem piechotą z dworca kolejowego do wskazanego mi hotelu przy głównej ulicy. Nie będąc pewny, czy dobrze idę, chciałem przechodnia zapytać o drogę. Ulica była całkiem pusta, żywej duszy nie było już na niej. Spostrzegam nareszcie stróża nocnego, który próbował czy sklepy dobrze pozamykane. Zbliżam się do niego i nie wiedząc w jakim do niego przemówić języku, pytam go po niemiecku o drogę.

Odpowiada mi:

— *Ja po nemecku nie umim, ale miarkujem, że oni fcom do Szałkasa. Ja idem w tu strone, niech raczom iść ze mnu, ta im pokażem.*

Szliśmy razem około 10 minut rozmawiając ze sobą. Byłem pewny, iż człowiek ten pochodzi z Galicyi a jeżeli mówił zepsutą polszczyzną, przypisywałem to prawdopodobnemu dłuższemu pobytowi między Słowakami. Porozumiewaliśmy się jednak zupełnie dobrze.

Gdyśmy w końcu stanęli przed hotelem Szałkasa, dając mu na piwo, zapytałem się go jak długo jest już na Słowaczyźnie.

— Jak *dłuho?* — odpowiedział z uśmiechem. — *Od kiela zijem*, bo ja *hen* rodem. A *haj!*

— Więc nie jesteście z Galicyi?

— Broń Boze!

— A gdzieście się nauczyli mówić po polsku?

— Po polsku?

— Po polsku?! Ja po polsku *hutorić* nie umim. Po polsku *hutorju* po tamtej galicyjskiej stronie.

— Jakto? Po jakiemu więc rozmawialiście ze mną?

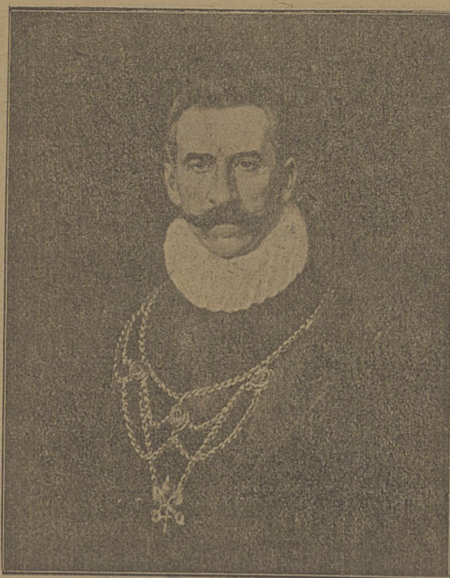
— Po *naszemu*.

— Co to znaczy?

— No po *naszemu*, po *słoweńsku*. My tu *szickie Słowiaki*.

— Słowaki? — podchwyciłem.

— Ale gdzieżtam! — *Słowiaki*. Słowacy są w Turczańskim *Swatym* Marcinie, na Liptowie i dalej na *zapad* — u nas same *Słowaki*.



Tadeusz Popiel
Ze Salonu „Stowarzyszenia Artystów“ w Poznaniu. Autoportret.

Nazajutrz był dzień targowy. Poszedłem na plac targowy, by się przypatrzeć ludowi miejscowemu. Zbliżam się do grup głośno rozmawiających. Rozumiem wszystko bardzo dobrze. Słychać w gwarze ludowej prócz polskiego akcentu wszystkie brzmienia polskie z wyjątkiem nosowych samogłosek. *U* zastępuje nasze *ą* a *h* nasze *a*. Zaiste to mowa polska — nadpsuta.

Lud wzrostu średniego, ruchliwy, zwinny, szczebiotliwy. U kobiet a nawet u mężczyzn piękne twarze o drobnych rysach, z oczami filuternie patrzącemi. Typ ludu koszyckiego różni się od typu ludu słowackiego i ruskiego, niemniej też zachodzi znaczna różnica w stroju. Usposobienie jego wesołe. Patrząc na ten lud pstro ubrany, zdawało mi się, jakobym znajdował się na krakowskim Kleparzu w dzień targowy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wytocz z człowieka krew a ubiegnie z nią i życie jego; wytocz z narodu język a ubiegnie z nim żywot jego. Naród żyje dopóki język jego żyje; bez języka narodowego niema narodu.

Karol Libelt.

* * *

Najwyższym dowodem wartości człowieka jest walka z wadami przyrodzonemi serca, aby na miejsce przemiennych uczuć, zbudować sobie charakter.

Józef Kremer.



Z żałobnej karty.

Ś. p. ks. radzca Kazimierz Michalski, długoletni kaznodzieja przy katedrze poznańskiej i egzaminator prosynodalny, a od roku 1907, proboszcz w Łodzi pod Poznaniem, po długiej i ciężkiej chorobie zakończył żywot doczesny dnia 25-go z. m. w Zakładzie Sióstr Elżbietanek w Poznaniu.

Ś. p. ks. radzca Kazimierz Michalski urodził się w roku 1868, w Sarbi pod Czarnkowem z ojca Teodora, byłego nauczyciela, i matki ś. p. Maryi z Antoniewiczów Michalskich. Do gimnazyum uczęszczał ś. p. ks. radzca Michalski w Śremie i ukończył je chlubnie jako jeden z pierwszych uczniów. Po studyach teologicznych w Monasterze, Poznaniu i Gnieźnie powołano go w roku 1893, na mansyonarza do Fary w Poznaniu, gdzie od razu zabłysnął wielką wymową kaznodziejską, a przytem wybitny brał udział w życiu towarzystw, mianowicie w Kat. Towarzystwie Rzemieślników Polskich, około którego wielkie położył zasługi. Po kilku latach powierzyła mu władza duchowna urząd penitencyarza i kaznodziei przy kościele archikatedralnym, w Poznaniu. Ś. p. ks. arcypasterz Stablewski, oceniając jego niezwykłe zdolności, bystrość umysłu i doświadczenie, mianował go radzcą konsystorskim i egzaminatorem prosynodalnym. Mimo licznych zajęć wyjeżdżał ś. p. ks. radzca Michalski bardzo często na misyę do Westfalii i prowincyi nadreńskiej, redagował „Słowo Boże,“ dodatek do „Przewodnika Katolickiego,“ oraz bibliotekę kaznodziejską, która pod jego umiejętnem kierownictwem szeroki zdobyła sobie zastęp prenumeratorów. Był także przez długie lata dyrektorem Sodalicyi pań.

Wyczerpany długoletnią pracą przeniósł się, gdy zawakowało probostwo w Łodzi, na wieś w roku 1907. Mimo krótkiego pobytu w Łodzi zostawił tam na długie lata ślady swej gorliwej działalności tak około dobra Kościoła jak na polu szerszej pracy społeczno - obywatelskiej. Stąd też nietylko parafia, ale i powiat cały tamtejszy odczuje brak tego dzielnego, a tak miłego wszystkim pracownika. Ś. p. ks. radzca Michalski zabierał się właśnie do budowy Domu katolickiego w Łodzi, przygotowywał fundusze na wystawienie nowego kościoła, kiedy naraz straszna i nieuleczalna choroba powaliła go na łoże boleści. On, który prawie nigdy nie chorował i niezwy-

kłem cieszył się zdrowiem, ostatnie miesiące przepędził w ciągłych cierpieniach i boleściach, którym wreszcie śmierć przedwczesna położyła kres.

Jak wielką sympatyą cieszył się zmarły kapłan okazało się podczas zeszłoniedzielnej eksportacyi z zakładu Sióstr Miłosierdzia przy placu Bernardyńskim do kościoła Podominikańskiego. W tym pochodzie żałobnym uczestniczyło kilkanaście tysięcy osób. Na czele postępowało 17 towarzystw i bractw z chorągwiami i niesiono wspaniałe wieńce. Kondukt żałobny prowadził regens seminaryum duchownego ksiądz prałat i kanonik dr. Jedzink



† Ksiądz Radzca Kazimierz Michalski.

w otoczeniu przeszło 100 kapłanów z Poznania i prowincyi. Gdy trumnę ze zwłokami ustawiono na katafalku, duchowieństwo odśpiewało wigilie, poczem wstąpił na ambonę ksiądz oficyał i kanonik dr. Dalbor i wygłosił wzniosłą mowę żałobną.

Nazajutrz o godzinie 10-tej odprawił mszę św. Najprzewielebniejszy ksiądz biskup dr. Likowski, administrator dyecezyi poznańskiej, wśród licznej asysty.

Mowę żałobną wzruszającą o obowiązkach kapłańskich wygłosił ksiądz szambelan Kłos, rządzca kościoła Podominikańskiego.

Około godziny wpół do 1-szej wyruszył pochód pogrzebowy, który prowadził ksiądz kanonik i oficyał dr. Dalbor w asyście około 100 kapłanów. Na czele postępowały towarzystwa bractwa z 18 chorągwiami, oraz deputacye z wieńcami.

Ś. p. księdza Michalskiego pochowano na nowym cmentarzu farnym. Przed spuszczeniem zwłok do grobu pożegnał zmarłego ksiądz Przybylski.

Ś. p. ks. radzca Michalski niech odpoczywa w spokoju, a światłość wiekuista niechaj Mu świeci na wieki!



Ze Salonu „Stowarzyszenia Artystów“ w Poznaniu.

Diorama „Jasełka“ Szambelana Tadeusza Popiela w Salonie Stowarzyszenia artystów, Bismarcka 8 w Poznaniu, budzi wielkie zainteresowanie. Jestto olbrzymi obraz, który przedstawia trzech Króli składających hołd dziecinie Bożej. Prócz tego wystawiono około 50 obrazów przeróżnej treści przeważnie widoki z nad Riwiery. Zaleca się jaknajliczniejsze zwiedzanie tej wspaniałej wystawy.

Wystawa otwarta od 10 rano do 5 i pół po obiedzie.

W zeszłym numerze zamieściliśmy w artykule p. t. „Ze Salonu Sztuk w Poznaniu“ ocenę wystawionych obrazów Tadeusza Popiela w Salonie „Stowarzyszenia Artystów“ w Poznaniu.

Dziś dajemy trzy reprodukcye jego obrazów, mianowicie: „Poranek“, „Autoportret“ i „Mater Dolorosa“.



Nieco z historyi talara.

Wskutek uchwały sejmowej z dnia 27 czerwca 1907 zostały talary w państwie niemieckiem z obiegu wycofane i już z 1-szym października tegoż roku utraciły zupełnie swą wartość jako prawny środek do płacenia. — Chociaż rodzaj tej monety zastąpiono w ostatnim czasie inną, to przecież nie przyjęto z zadowoleniem tej zmiany, gdyż zanadto nazwa ta była z nami niejako zrośnięta i wszędzie lubianą.

Kolebką talara jest Tyrol, uksiążęcone hrabstwo, które od roku 1363 do krajów austryackich należy. Zygmunt arcyksiążę austryacki zaczął bić w swej



Talar Joachimowski („Joachimhstaler.„)

mennicy w mieście Hall srebrne sztuki po sześć i dwanaście krajcarów, później nawet i po sześćdziesiąt. — Ponieważ wówczas w wielkim handlu tylko złoty reński i nieco czyściejszy od niego dukat węgierski kursował, a większej srebrnej monety nie było, przeto bite przez Zygmunta większe sztuki srebrne jako ekwiwalent w porównaniu z złotym reńskim służyły. Tak więc gruba złota moneta podzielona przez srebrne sztuki, handel ułatwiała. Nic dziwnego, iż sztuki te, mimo powszechnego monet spodlenia, zyskały sobie ogólną sympatyę. Najstarsza sztuka tego rodzaju ma być podług Hirscha „Reichs-Muenz-Archiv“, z roku 1484.

Z tej kategoryi monet pochodzi talar, który początkowo wiele i różne nazwy miewał, aż go wreszcie oznaczono mianem talara. Gdy przez spekulacye mennicze grosz szeroki srebrny czyli praski, upadł, nastąpił w numizmatyce okres złotowy. Złotym nazywał się prawdziwy złoty t. j. ze złota, czerwony złoty i dukat. Tylko że przy ciągłej obniżce kursu monet w całej Europie, nazwa „złotego“ ciągle spadając, zaczęła nareszcie oznaczać złotówkę srebrną, a grosz przeszedł na miedziaka żebraczego. W Niemczech przez długi czas tylar najprzód nazwą „złotego“ oznaczano (Guldengroschen — Gueldiner).

Właściwe i regularne bicie talarów rozpoczęli od roku 1518 hrabiowie Schlick, właściciele ogromnych kopalń kruszczu w Czechach w swej mennicy w Joachimsthal. — Tu zaznaczyć wypada, że w dawnych wiekach ledwo nie każdy książę miał prawo, raczej przywilej, do wybijania monet.

Sztuki bite w mennicy joachimowskiej, od miejsca wybicia imię „Joachimsthaler“ wzięły, a potem za monetę rzeszy przyjęte, nazwisko „Reichsthaler“ otrzymały. — Tak więc po różnych okolicznościach z miejscowości Joachimsthal wyłoniła się nazwa talara, której odtąd stale używano.

Na głównej stronie pierwszych talarów widzimy lwa czeskiego, gdyż hrabiowie Schlick byli wasalami Czech, i imię i tytuł króla Ludwika, — zaś na odwrotnej wizerunek św. Joachima, herb właścicieli mennicy i napis w w otoku w dwóch rządkach.— Zwyczaj wytłaczania św. Joachima na talarach dosyć długo trwał w Niemczech, ale nie zawsze zachowywano to prawidło.

W Polsce pierwszy raz umieszczono nazwę talara w księgach prawa roku 1528. W numizmatyce naszej mamy talary od Zygmunta I. począwszy. — Są koronne, litewskie, inflanckie, kurlandzkie i niektórych miast Prus Książęcych, w różnych odmianach co do wyciskania

i wartości podług stopy, a wszystkie niemal zalicza się do rzadszych monet naszej numizmatyki.

Leon Pawlak.



Tadeusz Mielcarzewicz.

Nowości literackie.

Szymon Askenazy: Dwa stulecia, XVIII i XIX, badania i przyczynki, II. Warszawa 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków — G. Gebethner i Sp. Str. 581. Cena 3 rb.

Tenże: Nowe wczasy. Warszawa 1910. — Nakład Gebethnera i Wolffa. — Str. 475. — Cena rb. 2,40.

Niestrudzony pracownik na polu historyografii, autor „Łukasińskiego“ i „Księcia Józefa Poniatowskiego“, dzieł pod każdym względem znakomitych, ogłosił świeżo dwa nowe tomy badań, rozpraw i szkiców historycznych. W *„Dwuch stuleciach“* podaje prof. Askenazy nasamprzód cztery ważne przyczynki odnoszące się do smutnej epoki saskiej *(„Do charakterystyki Augusta II.“, „Komedya berlińska“, „Sprawa Tarły“, „Pamiętnik prymasa“* (Łubieńskiego)*)*, poczem zapoznaje nas z jedynym ministrem (wojny) Królestwa kongresowego Józefem Wielhorskim. Autor wydobył tu z zapomnienia człowieka, który pełnił uczciwie służbę publiczną, a którego wpółcześni niesłusznie oczernili. Szkic to bardzo ciekawy, gdzie spotykamy się także z innemi wybitnemi osobistościami ówczesnej doby. — W najdłuższej pracy tego zbioru (str. 173—370) pisanej w styczniu 1901-go roku *(„Pożegnanie stulecia“)* rozpatruje znakomity historyk nasze położenie polityczne po dokonanych rozbiorach, doprowadzając ten pogląd aż do wybuchu rewolucyi listopadowej w Warszawie. — Dwie charakterystyczne sprawy z czasów Królestwa kongresowego: Franciszka Rupińskiego, zawodowego kauzyperdy i karyerowicza, obwinionego o buntowanie włościan *(„Trybun ludu“)*, oraz żyda Salomona Płońkiego *(„Pierwszy syonista polski“)*, a wreszcie szkic o przedstawicielstwie mocarstw obcych w stolicy za Księstwa Warszawskiego *(„Dozór konsulacki“)* dopełniają — obok licznych przypisów — dzieła, odznaczającego się, jak wszystkie prace tego uczonego, ścisłością historyczną i bezstronnością w ocenianiu wypadków dziejowych, a ponad to nadzwyczaj pociągającym sposobem przedstawienia rzeczy, zdolnym nietylko zaciekawić, ale i rozgrzać czytelnika. —

To samo powiedzieć trzeba i o drugiej książce prof. Askenazego. *„Nowe wczasy“* przynoszą ośmnaście niemniej cennych i niemniej charakterystycznych zagadnień historycznych, jak „Dwa stulecia“. Wszystko, co autor tu podaje, warte jest nietylko przeczytania, ale i wszechstronnego przestudyowania. — Na uwięzi trzyma zarówno naszą uwagę piękna sylwetka *generała Fiszera*, jak i surowa, ale zasłużona krytyka nędznej kreatury, tajnego radcy Maksyma *Alopeusa* (um. 1822); z satysfakcyą śledzimy szczerze polski „porachunek“ z pseudonaukowemi, nietylko ze stanowiska polskiego wstrętnemi książkami K. Waliszewskiego o Katarzynie II. *(„Dworactwo pośmiertne“)*. Autor-Polak schlebiający w swoich po francusku napisanych „romansach“ Katarzynie zwąc ją „świetlaną postacią“ i „gwiazdą“, to zaiste smutne nad wyraz widowisko! — Z tą samą przyjemnością, co ciepło skreślony portret pisarza niemieckiego *Ludwika Boernego* (ur. 1786, um. 1837), szlachetnego przyjaciela Polski, czytany *„Na marginesie Kordyana“*, gdzie prof. Askenazy notuje kilka uwag pod względem dziejowym o „Kordyanie“ Słowackiego. — Nowe przyczynki do charakterystyki W. Księcia Konstantego znajdujemy w *„Rozmowach w Belwederze“*, — toczył je 15 i 25 czarwca 1827 r. W. Ks. Konstanty z księciem Adamem Czartoryskim. — W trafnych wywodach ocenia prof. A. *„Pamiętniki Hohenlohego“*, które przed niedawnym czasem wywołały tyle wrzawy w całej Europie, itd. A wszystkie te sądy i zagadnienia (wymieniliśmy tu tylko pewną ich część) pisane nadzwyczaj przystępnie, w formie żywej i ponętnej, przedstawiają cenny nabytek dla tych, którzy pragną wzbogacić swoje wiadomości z historyi ojczystej, i którzy wogóle nie są obojętni na pytania żywotne dotyczące naszej przeszłości, oraz aktualnych wypadków nowszej doby.



Tadeusz Mielcarzewicz.

„Pan Balcer w Brazylii“
Maryi Konopnickiej.*)

Nie wam, słowiki, wtórzyć przychodzę,
Nie z tobą, różo, kwitnąć przy drodze,
. . . .
Lecz z tobą płakać, człowieku!
(M. Konopnicka).

Ukazanie się poematu *„Pan Balcer w Brazylii“ Konopnickiej* jest zdarzeniem epokowem w naszej literaturze. Już od roku 1892-go pojawiły się w *„Bibliotece Warszawskiej“* fragmenty z tego arcydzieła, aż wreszcie zawarły się te poszczególne pieśni w jedną wspaniałą całość, dając literaturze polskiej wielki poemat epicki. Od czasu *„Pana Tadeusza“* i *„Króla-Ducha“* nie wydała poezya nasza nic równie potężnego.

„Przeminął czas rapsodów sławy i miecza, zmalały pieśni pośród nas“ powiedział przed trzydziestu kilku laty jeden z największych naszych poetów, Adam Asnyk. Istotnie, od czasu owych wielkich kreacyj, leżała u nas poezya epicka odłogiem. Nie brakło wprawdzie poetów i to prawdziwie natchnionych, ale wszystko, co mieli na sercu, co im dusze rozpierało, wszystkie pragnienia i myśli wypowiadali przeważnie w krótkich pieśniach, lirykach, sonetach, nieraz nadzwyczaj kunsztownych, głęboko pomyślanych i artystycznie wykonanych. Nie był to więc bynajmniej upadek poezyi, ale nie były to też dawniejsze jej wyżyny. Nie dostawało nam przedewszystkiem epopei, któraby wstrząsnęła narodem, epopei o podkładzie dziejowym, któraby wyśpiewała troski i bóle, tęsknotę i cierpienia chłopa polskiego. Epopeję taką stworzyła *Marya Konopnicka.*

Już w pomniejszych utworach swoich, czy to w przepięknych lirykach, czy obrazkach prozą pisanych, poświęcała poetka najwięcej miejsca niedoli ludzkiej, najżywsze współczucie okazywała zawsze maluczkim, bohaterami jej byli chłopi w siermiędze, wogóle postacie o duszach prostych, ale sercach gorących. Stąd nadano jej trafne miano „poetki nizin“. Jakże cudownie śpiewa ona:

Temu tylko pług a socha,
Kto tę czarną ziemię kocha,
. . . .
Kto rodzinnych swoich pól
Zna wymowę — łzy i ból!
. . . .
Kto ukochał lud w siermiędze,
Kto zna twardej doli nędzę,
Kto wyciągnął, jako brat,
Dwoje ramion do tych chat.

Temu tylko kosa krzywa,
Kto w przyszłości wierzy żniwa...
Kto po nocach cichych słucha
Przyjścia zorzy, tchnienia ducha,
Komu lemiesz, to dziś — miecz....
A wy, zimni, z pól tych precz!

Ból nad tułaczym losem narodu, ból, który krwawi serce poetki i do pieśni żałosnej zapala, ukochanie ziemi i tęsknota za krajem rodzinnym znajdują najwyższy wyraz w *„Panu Balcerze w Brazylii.“* Nieszczęsną wędrówkę wychodźców polskich do Brazylii opowiada Konopnicka przez usta pana Balcera, kowala z waszecia, w potężnych słowach, przeprowadzając uczestników „wyprawy po szczęście“ przez wszystkie fazy otuchy i wiary, zawodów, nieszczęść, zgrozy. Pełni nadziei udają się ci biedni tułacze w podróż, początkowo (pieśń pierwsza) rozjaśnia też jeszcze tu i owdzie posępne tło lekki uśmiech i humor pogodny, ale zaledwie dostali się nasi bohaterzy na ląd stały, doznają strasznych rozczarowań i mąk niewysłowionych. Żółta febra, niemożliwość przetrzebienia puszczy brazylijskiej, straszliwe zmory: głód i choroby, liczne wypadki śmierci z powodu klimatu zabójczego kładą na nich swe znamiona męczeńskie (pieśń druga i trzecia). Więc wkrótce rozbrzmiewają

*) Warszawa 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa. — Kraków G. Gebethner i Spółka — Str. 396.

smutne skargi i serdeczne wspomnienia rodzinnej wsi, lasu, kościoła, tęsknota za ziemią ojczystą (zasadniczy motyw poematu!) ogarnia umysły:

Hej ziemio, ziemio, że my się też ciebie
Puścili! Miedz twych i twojego płota!
A toć po wodzie my tam i po chlebie
Moc większą czuli i więcej żywota,
Niż tu, gdzie wszystko na okół i w niebie
Cudze, i gdzie jest dusza jak sierota,
Obzierająca się w dalekość siną,
Za progiem chaty swej i za rodziną!

Hej ziemio, ziemio, ty matko rodzona!
Łanie ty wdzięczny i rolo życzliwa!
Toć ty tam sama podajesz zagona,
I ziarnu tak się otwierasz, jak żywa!
Lecz ta — macocha jest! A czy kto kona,
Czy padnie, ani dba, ni się zadziwia...
Nad trupem twoim znów wszystko w tych borach
Będzie rość, szumieć, i błyskać w kolorach.

Ani tu słońce nie takie jest ranie,
Jak u nas, w tęczach palącej się rosy...
Ani tych ptaków podobne śpiewanie,
Jak naszych czyżów, ziąb, skowronków głosy...
Ni gwiazdy niema tej, co gdy tam stanie
Nad te użątki nasze, nad pokosy,
To człek wyraźnie widzi, jak ta boska
Moc, o najlichszy kłos w polu się troska.

Niedługo też potem widzimy naszych wychodźców „w powrotnej drodze" (pieśń czwarta). Ale i tu daleko jeszcze do kresu niedoli. I tu czyhają na nich wszelkiego rodzaju klęski i zawody. Najprzód napotykają kolonję polską — „kolonję zmarłych": ze zgrozą przekonywają się, że żywa dusza nie pozostała po owych osadnikach, jeno krzyż z polskim napisem sterczy pośród mogił i kości „do naga obranych już z ciała." Znowu rozpacz i zwątpienie opanowywa bezdomnych emigrantów, — śmierć pochłania nowe ofiary, wreszcie walka z murzynami zamyka ten smutny obraz szukania drogi na wschód, obraz, w którym ślepa rozpacz i samobójcze myśli, nękające duszę, współzawodniczą z rzewnemi wspomnieniami i szczytnymi porywami serca.

Ciężką atmosferę tej pieśni rozjaśnia nieco w następnej przybycie wychodźców do portu, tu bowiem, tuż pod miastem, napotykają polskich osadników, chłopów z pod Inowrocławia, których względne powodzenie wlewa otuchę w serca naszych męczenników. Na sam dźwięk języka ojczystego rozjaśniają się ich oblicza, jakby im kto „miodu kapnął na serca spalone w goryczy". Kończy się ta pieśń symbolicznem uprzytomnieniem nieszczęsnego naszego losu. — Najadłszy się do syta „szczęścia" za morzem, powraca nasz ludek gremialnie do kraju, „setkami wali" na zwerbowany okręt, który go za pół ceny zawiezie do ojczyzny, do ziemi najdroższej (pieśń ostatnia):

...Idziem do ciebie, ziemio, matko nasza,
Coś z pierworodnej zrodziła nas gliny!
Idziem do ciebie, rzesza twoja ptasza,
Powracające do gwiazd swoich syny...
Niechaj nas dola, jak paździerz rozprasza,
Krzykniesz? — Wnet twoje zbiorą się drużyny.
Przez imię twoje i na twe wołanie,
Lud wierny tobie, u boku ci stanie.

...Idziem do ciebie, ziemio, matko miła,
By upaść czołem na twoje zaproże...
Nie jeno liczba my, — ale i siła.
Nie jeno pług my, co łany twe orze,
Ale i pieron, co Bóg go posyła,
By walił bory o spróchniałej korze...
Nie jeno proch my, co z wiatrem polata,
Ale i bary — dźwignące pół świata!
...Młotami walić będziem w twojej kuźni,
Sochą w rozświtach krajać twe zagony,
Aż ci się pęto u szyje rozluźni,
Aż buchnie z ciebie ogień zatajony...
Niechaj nas nie tknie nikt, niechaj nie bluźni,
Że nie masz synów dla swojej obrony!
Na śmierć, na życie oto ci oddana
Podlaska dusza... podlaska sukmana.
Serdca się nasze pod stopy twe ścielą,
Polsko, jaką cię nie widały duchy!...



Marya Konopnicka.

Ty wyjdziesz srebrna — łzów naszych kąpielą
Wymyta, strojna w zbóż twoich rańtuchy...
Pola się twoje wiosną rozweselą
Ludów! Ty cała w słoneczne wybuchy
Wolności pójdziesz, co tleją już w niebie.
Idziemy matko! Idziemy do ciebie!

. . . .

W „Panu Balcerze" niema właściwego „bohatera", ale postulat ten, który odnośnie do epopei uporczywie stawiano, doprawdy jest bezprzedmiotowy. I w innych arcydziełach epickich nie koncentruje się wszystko na jednej, głównej postaci tak zwanego bohatera. Esencyonalnym pierwiastkiem w nieśmiertelnej „Iliadzie" Homera jest bohaterski naród grecki, bohaterska Grecya stanowi też kość pacierzową „Odyssei". I „Pan Tadeusz" nie ma „bohatera", i tu główną osią nie jest jakaś wyolbrzymiona postać, lecz życie szlachty litewskiej. W „Panu Balcerze" jest istotnym bohaterem chłop polski, ten biedny, poniżony chłop, zmuszony twardym losem szukać za morzem lepszych warunków bytu. A jakże obfitą ta galerya ludu naszego z najrozmaitszych stron Polski zgromadzonego! Podlasiacy, Mazurzy, Łomżyńce, Kurpie, Płocczany, Poznańczycy itd. — z siłą i niepomierną plastyką przez poetkę odtworzeni, stoją jak żywi przed nami; świetna charakterystyka poszczególnych postaci (zwłaszcza męskich) święci tu prawdziwe tryumfy. Przeżywamy przy czytaniu poematu wszystkie bóle i troski tego ludu, jego tęsknoty i gorycze, także jego miejscami ujawniający się hart duszy i rzadkie radosne przebłyski znajdują głęboki oddźwięk w naszych sercach. Szlachetna orędowniczka ludu wygrywa w „Panu Balcerze" na serdecznych strunach swej harfy przepiękne, spiżowe tony!

Epopeja Konopnickiej godna jest stanąć tuż obok, a przynajmniej niedaleko „Pana Tadeusza." Formą (poemat pisany jest dźwięcznemi oktawami) zbliżyła się poetka do Słowackiego, którego szczytny wpływ wogóle w wielu punktach rozpoznać tu łatwo. „Król-Duch," „Beniowski," nawet „Ojciec Zadżumionych" przypomina nam się tu i owdzie w ciągu czytania „Pana Balcera". Nie przynosi to pokrewieństwo bynajmniej ujmy poetce, — przeciwnie; że Słowacki, do którego tęskni dusza polska, był jej tu mistrzem, że On właśnie potęgą swojego geniuszu wywarł wpływ podniecający na naszą poetkę (wywierał go zawsze), że dał jej bodźca do utworzenia wielkiego „dzieła życia," nie zmniejsza w niczem zasługi autorki „Pana Balcera," — któż śmiałby jej z powodu tego odmówić tytułu samodzielnej artystki i wielkiej poetki? Zresztą przepiękny język, mieniący się najcudowniejszemi barwami tęczowemi, pełen wyrazistych słów, zwrotów, pełen wreszcie archaizmów i tonów melodyjnych, choć prosty i niewyszukany, a tak silny, wydobywa poetka z własnego skarbca. A i w niezrównanem znawstwie duszy chłopa, w wyrażeniu jego uczuć, całego zbioru zalet i wad, w wspaniałych przyrównaniach i potężnych opisach natury (huragan na puszczy, las dziewiczy, burza morska i t. d.) jest ona nawskroś oryginalną.

„Pan Balcer w Brazylii" wieńczy jaknajgodniej dotychczasową wspaniałą twórczość Maryi Konopnickiej. Ziściło się pragnienie poetki, aby dać narodowi polskiemu po epopei szlacheckiej, jaką jest „Pan Tadeusz," epopeję ludową. Tej istotnie literatura nasza nie posiadała dotąd jeszcze. — Asnyk, który skarżył się na skarlenie pieśni u nas, wierzył zarazem silnie w jej zmartwychstanie, „bo co nieśmiertelne musi żyć." Wieszcz nasz wierzył nie napróżno: „Pan Balcer" dowodzi, że poezya rzeczywiście „odzyskuje dawną swoją moc," że potrafi zawładnąć sercem narodu i budzić donośne echa.

Cierpienie pali i oświeca: ono jest tym ogniem, który gorejąc wewnątrz, rozrzuca na obliczu jakiś blask godności, wzbudzający mimowolne uszanowanie. *Józef Korzeniowski.*



Generał Ludwik Bogusławski.



Marsz żałobny.*)

Z SONATY FRYDERYKA SZOPENA. (Dzieło 35).
Słowa Kornela Ujejskiego.

Tyle dzwonów! gdzie te dzwony? czy w mej głowie huczą?
Kędy idą roje księży z taką pieśnią kruczą?
Tu przedemną o dwa kroki czarny wóz się toczy...
Tak mi ciemno! ten wóz czarny ściemnił moje oczy.

Gdzieś w powietrzu krzyż jaśnieje, migają pochodnie,
A prowadzą mię pod ręce, idę tak wygodnie,
Same prawie się podnoszą zadrętwiałe nogi,
Dobrze, dobrze, że mię wiodą, nie znam żadnej drogi.

Idę, płynę niby śniący — bez myśli, bez woli,
Ach mój Boże! tylko w sercu coś mię strasznie boli,
Coś zatapia w nich swe szpony, krzywe, ostre szpony...
A tu ciągle biją dzwony, a tu kraczą wrony...

Ha! muzykę jakąś słyszę, pięknie grają, pięknie...
Żar mam w oczach, a po twarzy coś zimnego cieknie,
Patrzą na mnie, ale zbliżyć nikt się nie odważa,
Musi coś być w mojej twarzy, co ludzi przeraża!

A wóz ciągną cztery konie, okryte żałobą,
A mnie ciągnie jakaś siła, wlecze mnie za sobą,
Wielki Boże! toż ta trumna wysuwa się ku mnie!
Tam zagadka mego bytu, w tej trumnie, w tej trumnie!

* * *

Na atłasie, piękna cicha,
Ręce trzyma w krzyż;
Przez sen do mnie się uśmiecha,
Oh! ty już nie śnisz!

Oh! nie czujesz ty już woni
Z wieńca białych róż,
I dotknięciem twojej skroni
Nie zbudzę cię już.

Nie wiesz nawet, że za tobą
Idę blady trup,
Że prowadzą cię z żałobą,
Że prowadzą w grób!

Na toż ciebie biedna matka
Wydała na świat,
I jam kochał do ostatka,
Bym cię w trumnę kładł!

Takież moje ślubne łoże?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze? Boże! Boże!
Co ja pocznę tu?!

Była słodka i anielska
I kochała mnie,
Jak piosenka jaka sielska,
Płynęły nam dnie.

I jam przy niej był bez grzechu
I anielskość miał,
Bo z jej oczu, z jej uśmiechu
Jam sakrament brał.

Była dla mnie jak natchnienie
Geniuszu, cnót,
Wiodło mnie jej szat jaśnienie
Do niebieskich wrót.

Gdzież zawiodło mnie na końcu
Po przebyciu prób?
W czarną otchłań szedłem w słońcu,
Przez nadzieję w grób!

Takież moje ślubne łoże?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze? Boże! Boże!
Co ja pocznę tu!

* * *

Wzięli trumnę na ramiona, ponieśli ją spiesznie,
Mnie zatrzymać chcą przemocą, ha! ha! to pociesznie!
Precz mi z drogi głupia ciżbo, bo będzie nieszczęście,
Młody jestem, wściekły jestem i mam silne pięście!

Ja mam jeden do niej prawo, precz z drogi ciekawi!
Czarne mrowie, tylko równy niech mi opór stawi,
Mego bólu żadna z waszych piersi nie pomieści;
I pierzchnęli, a ja idę, wielki król boleści!

Pośród gwaru podziwienia, śród hałasu dzwonu,
Oto zbliżam się do trumny, do mojego tronu.
Ty grabarzu, na tym kopcu wsparty na łopacie,
By takiego pogrześć króla, ile chcesz mój bracie?

A zakop mnie, a głęboko, tak mi źle na świecie!
Cięższej niźli twoja ziemia, powietrze mię gniecie...

. . . .

Z pod habitu zakonnego wysuwa się ręka...
Jakaś jasna, jakaś mocna! duch mój przed nią klęka,
Dotknęła mnie, a ja padam podcięty jak kosą...
I wzięli mnie, i ponieśli, gdzie oni mnie niosą?

*) Powyższy „Marsz żałobny“ zamieszczamy na życzenie grona Czytelników. — Przyp. Redakcyi.



Dział kobiecy.

Panika w modnym świecie.

W całym modnym świecie panika, szczególniej między fryzyerami zarabiającymi sumy na sprzedaży fałszywych włosów. Z Paryża i Londynu nadeszły bardzo niepokojące wieści, jakoby — w następstwie przypinania fałszywych włosów — okazywał się trąd — — straszna to, a nieuleczalna naskórna choroba; czy wieść prawdziwa, trudno udowodnić. Faktem jest jednak i nie zapominajcie o tem kochane czytelniczki, że włosy w największej ilości — sprowadzane bywają z Chin; włosy te ucinają tam trupom i nas niemi — zasilają. Wiadomą jest też rzerzą, że nigdzie tyle co w Chinach, rozpowszechnione są wstrętne choroby i to właśnie rzecz straszna, że dla kaprysu mody, dobrowolnie się narażamy. Podobno i w Niemczech kilka podejrzanych wypadków się zdarzyło;— wprawdzie odwołano to czemprędzej, — nie przeczę, że często robi się z muchy — wołu — a choroba głowy może mieć również przyczynę — w nieczystem jej utrzymaniu, nie należy jednak lekko traktować tego — co jeśli nie tu — w świecie już jednak niejednokrotnie się wydarzyło. I zresztą — powinny wreszcie panie i panienki dojść do przekonania — że w tych iście dziwnych fryzurach — bynajmniej im nie do twarzy. Arystokratki europejskie— zupełnie zarzucają fałszywe włosy: brzydzą się niemi. Na balu dworskim we Wiedniu — wszystkie damy zupełnie skromnie były uczesane. — Jeśli już która z pań nie może się obyć bez nastrzępionej fryzury, to już w każdym razie zepsuć trochę własne włosy — tapirując je, a na podkładki używać także tylko własnych, przy czesaniu wyszłych włosów.

* * *

Praktyczny podbródek dla dzieci.

Kiedy już dziecko potrafi utrzymać łyżeczkę i widelec i siedzi na krzesełku przy stole ze starszymi, wówczas to bywają rozsypywane liczne okruszyny i wylewane zupy i sosy, ubranie dziecka przemaka i plami się, a dywan lub podłoga pod stołem również źle na tem wychodzą. Ażeby temu zapobiedz, wynaleziono nowy rodzaj podbródka czyli fartuszka, zrobionego z ceraty lub gumowej materyi, w formie długich dziecinnych serwetek. Na dolnej części przyszyta podwójnie materya, podnosi się i zapina na guziczki umocowane na ramieniu, tak, że to tworzy kieszonkę, w którą kruszyny jedzenia się dostają. Nieprzemakalny materyał chroni ubranie dziecka od nieczystości i wilgoci. Po jedzeniu, ten doprawdy praktyczny podbródek wytrzeć trzeba tylko gąbką i suchym płatkiem. Jest bardzo trwałym, a oszczędza dużo sukienek i bielizny dziecka.

* * *

Dlaczego dziewczęta nie wychodzą za mąż.

Poruszono tę kwestyę w pewnej gazecie wychodzącej w Neapolu, gdyż jak się wyrażają — ze smutkiem skonstatowano, że coraz mniej małżeństw bywa zawieranych w okolicach Włoch. Że młodzi panowie z każdym rokiem więcej entuzyazmują się do — wolności i bezżenności, przekonani też są, że winę tego bezwarunkowo przypisać trzeba dziewczętom; one bowiem, w swem — uprzedzeniu, wyrobiły sobie tak błędne i fałszywe pojęcie o małżeństwie, że swemi fantastycznemi marzeniami, wywołują tylko uśmiech politowania w rozsądnych umysłach ludzi! Przedstawiają sobie „szczęście małżeńskie“ w najniemożliwszy sposób: chcą żeby „szczęście“ polegało na tem, by mąż ubóstwiał żonę wiecznie, jak jakiś nadziemski niedościgniony ideał, któremu największe ofiary i wszystkie skarby świata u nóg się składa. Te, które posiadają posag, żądają, by przyszły mąż dwa lub trzy razy tyle dochodu mógł wykazać; ze skromnym posagiem panny, szukają naturalnie bardzo bogatego małżonka, pannom, które ani złamanego grosza nie mają, nie przeszkadza to wcale mieć równie wygórowane zachcianki: — pragną być „z miłości“ pojmane, dla siebie samych, a przytem cenią się tak wysoko, że — młodzieniec, chociażby z poczynającą się sympatyą do której z nich — przestraszony — umyka.

Czasami jednak — znajdzie się dziewczyna, która otwarcie mówi, i szczerze czuje to, co mówi: „Pragnę mężowi memu być — nie jakąś niebiańską królową, lecz wierną towarzyszką życia; nie pragnę też wcale być „szalenie ukochaną“, raczej najlepszą przyjaciółką jego tak w doli jak niedoli.“ Na szczęście bywają jeszcze takie okazy dobrych dziewcząt i one to na pewno znajdą mężów. — Temi słowy kończy rozprawkę wspomniana gazeta.

* *

Dzieci japońskie.

Japonia nazywa się słusznie „rajem dzieci“, nigdzie bowiem dzieci nie cieszą się po swych obowiązkach tak wielką swobodą, nigdzie nie mogą się tak długo i wesoło bawić na wolnem powietrzu jak w Japonii. W miastach środkowej Japonii ulice w godzinach popołudniowych są zapełnione gromadami rozbawionych dzieci, we wszystkich ogrodach rozbrzmiewają głosy dziecięce.

W ogrodach chłopcy współzawodniczą ze sobą, puszczając orły w powietrze lub biegając do mety, a oczy im się błyszczą i twarze czerwienieją od niepohamowanego zapału i wysiłku, doprowadzonego do ostatecznych granic. Dziewczątka również nie siedzą spokojnie, lecz biegają wesoło po ścieżkach ogrodu, dźwigając na plecach różnokolorowe lalki. W zabawach chłopców objawia się wojowniczy duch Japończyków. Najchętniej bawią się mali Japończycy w „sztandary“. Tworzą się dwie partye, jedna ma chorągiewki białe, a druga czerwone. Na dany sygnał rozpoczynają się zapasy: obie partye rzucają się wzajemnie na siebie, każdy z chłopców usiłuje swemu przeciwnikowi wydrzeć chorągiewkę, a ta partya, która zdobyła więcej chorągiewek, odnosi zwycięstwo.

Mieszkania japońskie mają pewne urządzenie, bardzo dogodne dla dzieci. Ściany bambusowe w mieszkaniach japońskich są łatwo przesuwalne, w pewnych tedy godzinach dnia zamienia się kilka pokoików w jedną wielką salę, w której dzieci mogą się swobodnie oddawać zabawom i igraszkom. Japonia jest krainą uroczystości i zabaw, więc też i dzieciom Japończycy bynajmniej nie skąpią uciech.

Co rok w marcu święcą dziewczęta japońskie wielką uroczystość lalek, która trwa siedm dni. Każde dziewczę japońskie czyni do tej uroczystości długie przygotowania, urządzając sobie małą wystawę lalek, przybranych w jak najpiękniejsze sukienki. Jedne lalki przedstawiają tancerki i gejsze, inne zaś rycerzy, tkwiących w starej, fantastycznej zbroi i dzierżących w ręku miecz praojców. Podczas święta lalek małe przyjaciółki odwiedzają się wzajemnie, a każda pokazuje swe lalki rówieśniczkom. Na te dnie mała Japonka wdziewa najpiękniejszy swój strój, barwi sobie usta staranniej niż zwykle i przyozdabia włosy najpiękniejszemi srebrnemi szpilkami, jakie posiada.

Na dzień 5-go maja przypada wielkie „święto chłopców“. W tym dniu przymocowują rodzice, posiadający chłopców, do domów swych tyleż tak



Rodzina japońska przy obiedzie.

zw. „orłów“, ilu mają chłopców. „Orły“ te są rozmaitej wielkości stosownie do wieku chłopców, których istnienie oznajmiają, a mają kształt karpia. Karp bowiem uchodzi za rybę śmiałą, która umie nawet pływać przeciw prądowi. Karp jest więc najlepszym symbolem wychowania, jakie chłopcy japońscy otrzymują. Podczas, gdy małe dziewczątka uczą się wykonywać trudne, zawiłe i bardzo artystyczne tańce, grać na lutni japońskiej, dziwacznie skonstruowanej i pleść wianki z kwiatów — to chłopcy uczą się pisać i zdradzają już bardzo wcześnie zadziwiającą żądzę wiedzy i wytrwałą energię w dążeniu do wytkniętego sobie celu.

Niech śmiech nie będzie długi, ani z każdej prawie rzeczy, ani też na całą gębę.

J. Hołowiński (z Epikteta.)

* * *

Ten tylko godzien życia i swobody,
Kto codzień musi dobijać się o nie.

F. Jezierski (z Goethego.)

* * *

Ten dopiero wiek swój przeżył, który obiegłszy chwalebnie kres doczesny, zostawia po sobie nieśmiertelną przeważnych dzieł i nauki pamiątkę.

Erazm Ciołek.



Osobliwości przyrody.

Śpiewające myszy.

Wiemy, że pisk myszy jest często zbliżony do świergotu ptaka, tak, że można wziąć jedno za drugie.

W pewnym domu słyszano raz w nocy świergot, pochodzący z sufitu. Wszyscy byli przekonani, iż ptaszki jakieś założyły gniazdo na strychu. W innym jednakże dniu świergot ten odezwał się w śpiżarni i okazało się, że to nie ptak, tylko mysz.

Podobne zdarzenia wywołały gorącą polemikę między uczonymi i zdania są podzielone: jedni mówią, iż mysz śpiewa podobnie jak ptak, inni przeczą temu. Posłuchajmy, czego doświadczył pewien uczony Anglik.

Kilka myszek — opowiada on — gnieździło się w ścianie mojej kuchni. Dałem im spokój, bo w istocie były to zachwycające zwierzątka i wychowywały właśnie młode pokolenie. Na ścianie wisiała klatka z kanarkiem pięknie śpiewającym; spostrzegliśmy wnet, że myszki zaczęły naśladować jego dźwięki. Czy działo się to wyłącznie z naśladownictwa, czy też z upodobania w śpiewie lub dla przedrzeźniania? Nie wiem, dość, że skutki były przedziwne; śpiew myszek był wprawdzie słabszy, lecz może słodszy i łagodniejszy. Nieraz wieczorem słuchałem śpiewu myszy, gdy kanarek spał, a goście zapytywali mię niejednokrotnie, czy to ptaszek tak śpiewa.

W Chinach istnieje pewien gatunek śpiewających myszy, które tubylcy trzymają w klatkach.

W listopadzie 1846 r. usłyszał pewien uczony w więzieniu śpiew z komina. Sądził, iż to jakiś ptak zbłąkany, a utwierdziła go w tem mniemaniu okoliczność, iż na drugi dzień słyszał ten sam śpiew. Po jakimś czasie śpiew słychać już było, jakby wychodzący z podłogi, aż na koniec odezwał się w nocy i obudził więźnia. Śpiew był miły, głęboki i zawodził w długich trelach. Uczony zapalił światło i kierując się za słyszanym głosem, podążał ku miejscu, skąd dochodził głos i zobaczył myszkę z pyszczkiem prawie drgającym jeszcze od przerwanego śpiewu.

Nie ulega więc wątpliwości, iż myszy umieją śpiewać. Każdy z Czytelników może łatwo czynić spostrzeżenia, celem przekonania się o śpiewie myszy, gdyż zwierzątek tych nie brak chyba po wielu domach.

Niezwykła ciekawość u ptaków.

Cały ród ptasi jest ogromnie ciekawy, to też uczeni naturaliści podają nam o tem wiele zajmujących szczegółów. Bardzo ciekawe są wszystkie małe śpiewaki, jak czyżyki, słowiki, skowronki, a prócz nich sroki, maszki, wróble i w. i. Stworzenia te — ostrożne zresztą nad miarę — pozwalają do tego stopnia unosić się ciekawości, iż łatwo znajdują przez to swą zgubę; wiemy np. że ptaki wędrowne rozbijają sobie często główki o ściany jasnych latarni morskich. Jakikolwiek przedmiot, porzucony na ziemi, zwraca uwagę ptaków. Dobrze wiedzą o tem myśliwi, iż często chusteczka porzucona, tak zajmie uwagę ptaka, że daje łatwo podejść się i zastrzelić.

Zabawne zdarzenie trafiło się raz w jednem z małych miasteczek. Ilekroć strażnik szedł na miasto, by ogłosić ludności jakieś nowe rozporządzenie władzy, dążyły za nim dwie gęsi: czarna i biała; głos dzwonka je przywabiał. Zatrzymywały się ilekroć zatrzymał się strażnik i stojąc ze schylonemi głowami, wyglądały jakgdyby uważnie słuchały ogłoszenia. Gdy skończył i dzwoniąc, podążył dalej, szły gęsi za nim na przedmieścia i nie prędzej wracały do swoich towarzyszek, aż strażnik obszedł całe miasto.

Najciekawsze ze wszystkich ptaków są papugi; muszą obejrzeć każdą rzecz, napotkaną na drodze. Pewien podróżnik uzbierał sobie raz pęk roślin górskich i położył je na chwilę na cyplu skały, aby odpocząć. Z chwili skorzystała jakaś papuga, by kwiaty obejrzeć i popróbować dzióbkiem, przez co postrącała wszystkie i porozrzucała.

Albo znowu takie zdarzenie. Oto razu pewnego wleciała papuga kominem do mieszkania pasterza pod jego nieobecność. Jakże się ten zdziwił, słysząc jakiś szmer w chałupie: otwiera i widzi, jak papuga, powywracawszy naczynia i stołki, rozszarpywała z ciekawości, co tylko uległo pod jej twardym dziobem.

Pan jakiś wychował sobie kruka, który był niezmiernie ciekawym, jak zresztą i inne kruki. Ulubionem jego zajęciem było wlatywanie do domów przez otwarte okna i przyglądanie się wnętrzu. Raz wleciawszy do jednego z pobliskich mieszkań, poniszczył wszystkie pamiątki, które właściciel przechowywał troskliwie na szafie. Bawiła go też wielce i zaciekawiała gra w piłkę; przyglądał się zawsze bawiącym się nią dzieciom i kradł im ją za każdym razem.

Z ciekawości jego wynikały nieraz bardzo humorystyczne i niezwykłe sytuacye. Pewnego razu wleciał do sali, gdzie obradowała rada wojenna i usiadł na stole wśród stosu akt, kałamarzy i piór. Próżno usiłowali obradujący usunąć go: nikomu nie dozwolił się tknąć, lecz dzióbał zaraz niemiłosiernie. Dopiero zawołano właściciela, który go usunął bez trudności.

Sądzę, że przytoczone powyżej zdarzenia malują nam dosadnie ciekawość ptaków, w czem podobne są one do... ludzi; różnica jednakże wielka: nas wiedzie ciekawość do postępu i wynalazków, ptakom zgubę często przynosi.

* * *

Przesypianie zimy.

Wiadomo zapewne wszystkim, że późną jesienią zapada wiele zwierząt w sen zimowy, z którego budzi się dopiero z nastaniem wiosny. Zapadają weń tak kręgowce jak i bezkręgowe; robaki i pijawki przechodzą w bezwiedny stan spoczynku, skoro tylko obniży się temperatura.

Ślimak lądowy wsuwa się na zimę w swoją skorupę, a wydzieliwszy ze siebie kleistą ciecz, zasklepia okienko i pozostawia zaledwie parę nieznacznych otworów dla dostępu powietrza. Ślimaki wodne zapadają w stan prawie zupełnej nieruchomości i jakby snu.

Węże i jaszczurki szukają miejsc zacisznych i ukrytych, albo usuwają się w pobliże ciepłych źródeł. Żaby zakopują się w mule na dnie wód.

Z ryb tylko niektóre zapadają w sen zimowy; najprawdopodobniej tylko te, które odbywają tarcie przed zimą lub z początkiem wiosny. Jedne z nich kryją się w dziurach podbrzeżnych pod korzeniami drzew lub kamieniami, np. pstrągi, inne znowu — jak karpie — wyszukują najgłębszych miejsc w stawie i spoczywają tam gromadnie.

Nawet częściowe zamarznięcie nie szkodzi ani rybom, ani też żabom lub ropuchom. Raki i robaki nie znoszą zamarznięcia zupełnie, jaja ich natomiast wytrzymują mróz doskonale.

W królestwie ptaków nie ma osobników, zapadających w sen zimowy; przyroda zabezpieczyła je przed zimnem w inny sposób, każąc niektórym odlatywać w ciepłe kraje, gdy reszta, wytrwała na zimno, umila nam swojem uwijaniem się i szczebiotem ponure dni zimowe.

* * *

Tajemnica dużego palca.

Wielki palec u rąk jakoteż i u nóg człowieka jest zupełnie inaczej wrośnięty aniżeli inne palce; to samo daje się spostrzegać też i u zwierząt ssących. Do niedawna nie wiedział świat uczony, skąd pochodzi ta anomalia, aż dopiero Dr. R. Broom dał zajmujące wyjaśnienie. Już dawniej wiedziano, że zwierzęta ssące stoją w ścisłym związku rozwojowym z anomodontami, t. j. mięsożernymi płazami z epoki triasowej (pokłady ziemne, złożone z piaskowców, wapieni muszlowych ze skamieniałościami i rudami). Otóż właśnie, badając odnóża jednego z tych skamieniałych płazów, przekonał się Dr. Broom, iż powodu wymienionej nieprawidłowości w osadzeniu dużego palca należy szukać właśnie u nich. Uczony widzi w tem jeszcze jeden dowód więcej pokrewieństwa ssaków z anomodontami.

„Z. W.“



Paula Wężyk.

PROŚBA.

Spragniona jestem, kropli wody głodna,
Lecz źródło moje wyschło już aż do dna,
Próżno chcę czerpać, bo nie ma w niem wody
Ni jednej małej kropli dla ochłody...
Chyba z ócz tylko wytrysną łez zdroje
I niemi może pragnienie ukoję.

Jakżem spragniona, jak mnie oczy palą..
O łzy, łzy gorzkie, popłyńcież z nich falą,
Nie, ani jedna nie spłynie już z oka,
Serce zamarło, — stwardło jak opoka,
Łzy pod powieką palą mnie zarzewiem,
A spłynąć nie chcą, czemu, sama nie wiem!

O źródło myśli, co z serca wytryska,
Kiedym spragniona, — rozczarowań bliska,
Zbudź się i ożyw serca mego wnętrze,
Strojąc je w cudne i stubarwne tęcze,
Przywróć łzy oczom i piersiom westchnienie,
Złagódź tęsknotę, smutek i cierpienie! —

Za hańbę poczytują Lechici, zawiesiwszy nieprzyjaciół porażkę, świętokradzkiemi obładowywać się łupami.

Wincenty Kadłubek.

* * *

Bo najpierwsze, jak Bóg każe,
Jest: wspomagać to, co bratnie,
Pierwsze wspólne są ołtarze,
Co dla siebie, to ostatnie.
Bo nie dojdzie ten daleko,
Kto dla siebie się mitręży
I trumienne kiedyś wieko
Jako ołów mu zaciąży.

Z dziedziny rodzimego przemysłu.

Fabryka papierosów „Patria“ Ganowicz & Wlekliński Tow. akc. w Poznaniu.

Wobec znacznego zainteresowania się szerokich kół społeczeństwa naszego zamianą fabryki papierosów „Patria“ Ganowicz i Wlekliński na towarzystwo akcyjne, sądzę, że nie od rzeczy będzie podzielić się z szanownymi czytelnikami wrażeniami doznanemi przy zwiedzaniu tejże fabryki, oraz objaśnieniami udzielonemi mi z wielką uprzejmością przez dotychczasowych właścicieli a obecnych członków zarządu tej nowej poważnej instytucyi pp. Franciszka Ganowicza i Jana Wieklińskiego.

Pamiętając dokładnie w jakich warunkach fabryka ta założoną została, mimowoli przychodzi zwiedzającemu na myśl, do czego przy małych nawet zasobach sumienną i uczciwą pracą, energią i wytrwałością wśród naszego społeczeństwa mimo znanych nam ciężkich warunków bytu, różnych bojkotów i ograniczeń doprowadzić można.

Pan Franciszek Ganowicz założył fabrykę tę w r. 1886 pod firmą „Patria“ w bardzo małym zakresie, zatrudniając zaledwie kilka robotnic. — Poznawszy gust palącej publiczności i umiejąc do niego zręcznie i umiejętnie zastosować wyrób swoich papierosów, zjednywał sobie coraz to większe zaufanie, powiększając równocześnie stale produkcyę. Po latach pięciu wstępuje do interesu jako wspólnik pan Jan Wlekliński i odtąd pod firmą obecną wzrost fabryki postępuje coraz to szybciej. Dość przypatrzyć się kilku niżej podanym cyfrom, aby uprzytomnić sobie w jak szybkiem i równem tempie fabryka się rozwijała i dotąd rozwija.

W r. 1886 prod. roczna wynosiła	270,000 szt
„ 1896 „ „ „	88,000,000 „
„ 1906 „ „ „	155,000,000 „
„ 1909 „ „ „	250,000,000 „

W miarę powiększania się produkcyi powstały kolejno filie i to:

na ul. Butelskiej	z 150 robotnicami
na Wildzie	z 200 robotnicami
w Gnieźnie	z 125 robotnicami
w Kościanie	z 175 robotnicami

Główna zaś fabryka przy ul. Moltkego zatrudnia obecnie 650 robotnic. W ogólności zatem przy wyrobie papierosów jest zajętych 1300 robotnic.

W Kościanie nadto mieści się w własnym gmachu skład tytuni w liściach w najprzedniejszych i starannie wybranych tureckich gatunkach. O składzie tym wspomnę w dalszym ciągu niniejszego artykułu.

Sama fabryka przy ul. Moltkego nr. 15 przedstawia się imponująco. Ozdobny front oraz artystycznie odkuta żelazna brama w wejściu głównem usposabiają zachęcająco odwiedzającego. — Schodzimy do suteryn gmachu frontowego, gdzie mieści się kilka maszyn do krajania tytuniu pędzonych siłą elektryczną. Maszyny te przygotowywują w ciągu kilku godzin potrzebną ilość tytuniu — przeszło 600 kg. dziennie. Jest to liczba olbrzymia. Licząc 300 dni roboczych w roku wynosi przeróbka roczna tytuniu 180 tysięcy kilogramów czyli 360 tysięcy funtów = 3600 centnarów.



Dom frontowy fabryki głównej przy ulicy Moltkiego nr. 15 w Poznaniu.

Obok krajalni znajduje się obszerna sala do mieszania tytuniu przed krajaniem i również w suterynie jest podręczny magazyn tytuniu w liściach posortowanego i umieszczonego w dużych skrzyniach ruchomych podług gatunków. Skrzyń takich naliczyłem około czterdziestu, a zatem tyleż gatunków znalazłem tamże. Ile pracy i trudu potrzeba na to, aby z tych najróżniejszych gatunków odpowiednie mieszanki do każdego z osobna gatunku papierosów podobierać i jak wielkimi zapasami rozporządzać trzeba, aby mieć każdy z tych gatunków stale jednakowy? Tak samo bowiem jak są lepsze i gorsze roczniki wina, tak samo i tytuń nie co rok bywa jednakowy. W latach gorszych zakupuje fabryka mniejsze ilości i wtedy wybór tytuniu jest nadzwyczaj trudny, podczas gdy w latach lepszego urodzaju nieraz na lat kilka przygotowywuje zapasy bez względu na cenę. I tak główny skład tytuniu w liściach znajdujący się pod zamknięciem komory celnej w Kościanie, a o którym już wyżej wspominałem, liczy przeszło 10,000 bel t. j. 250,000 kg., co przedstawia wartość około 1,500,000 marek (półtora miliona).

Również w suterynie znajduje się szlifiernia do noży potrzebnych do krajania tytuniu i papieru, motor do windy towarowej oraz piec do centralnego ogrzewania gmachu frontowego.

Zwiedzam dalej dobrze zaopatrzony magazyn papierosów, oraz kilka sal, w których stale przeszło 150 robotnic pakuje w paczki i banderoluje papierosy.

Przechodząc z piętra na piętro, gdzie setki robotnic w jasnych, olbrzymich salach doskonale wentylowanych jest zajętych ręcznym wyrobem papierosów oraz potrzebnych do nich opakowań. We wszystkich tych salach panuje wzorowy ład i wszędzie widać intenzywną i ochoczą pracę.

Na górnych piętrach poprzecznej oficyny stoją maszyny do krajania bibułki, banderol i tam też przygotowywują na specyalnych maszynach części do pudełek i kartonów do papierosów.

Na każdem piętrze znajdują się nadto obszerne ubieralnie dla robotnic, służące zarazem jako jadalnie. Wogóle widać wszędzie troskliwą dążność do zapewnienia robotnicom hygienicznych i wygodnych warunków pracy.



Widok podwórza fabryki głównej przy ul. Moltkiego nr. 15 w Poznaniu.



Robotnice przy wyrobie „Noblessów.“

Schodzimy następnie do oddziałów, gdzie tańsze gatunki papierosów do ceny 10 fen. za dziesięć sztuk w sprzedaży detalicznej maszynami robią. Widząc piękną i szybką a tak małej obsługi wymagającą pracę tych maszyn, zapytałem dla czego i inne gatunki a zwłaszcza Noblessy, produkcya których, jak mnie objaśniono, trzy ćwierci ogólnej wynosi, maszynami się nie wyrabia? Oto odpowiedź.

Panowie G. i W. wielki nacisk kładą na ręczny wyrób papierosów. Maszyny nie zawsze mogą ręczną pracę zastąpić, a już ręcznie robionym papierosom nigdy nie mogą dorównać maszynowe, chociażby nawet do nich lepszego użyto tytuniu. Ręcznie zrobiony papieros pali się równo, a to z tej przyczyny, że tytuń jest równo nakładany, dostatecznie przy nakładaniu roztrząsany, przez co „przychodzi do siebie“ po gwałtownem sprasowaniu podczas krajania i jeszcze dokładniej zostaje przemięszany, utraca nadto w miarę zbytnią wilgoć, z którą dostaje się przy maszynowej robocie do papierosa, a która powoduje pewien szkodliwie na smak i aromat wpływający ferment. Są to względy nader poważne i dla tego też poznawszy dokładnie przewagę ręcznie robionych papierosów nad maszynowemi pp. G. i W. starają się uniknąć ewentualnej konieczności wprowadzenia u siebie maszyn do robienia Noblessów i wogóle lepszych gatunków, co im się, jak dotąd, szczęśliwie powiodło. Z tego też powodu jak mnie w dalszym ciągu informują łaskawie obydwaj panowie, nastąpiła zmiana opakowań Noblessów po podniesieniu ceny na banderolę, a nie zamiana pracy ręcznej papierosów na maszynową.

Przy tej sposobności rzuciłem kilka pytań dotyczących opakowań i banderol.

„Dla przemysłu papierośniczego, — powiedziano mi, — podwyższenie podatku banderolowego było ciosem tym cięższym, że nastąpiło zaledwie w trzy lata po wprowadzeniu wogóle banderoli na papierosy i to jeszcze w czasie, gdy ceny na tytuń ogromnie podskoczyły.

„Koszta banderoli pierwszej, które wynoszą przy obecnej produkcyi miliona papierosów dziennie mk. 1500,00, zdołaliśmy po części ponieść, nic nie zmieniając przy naszych Noblessach, licząc tylko na powiększenie obrotów i tym sposobem wynagrodzenia powstałych strat. Obecna zaś podwyższka równająca się przy tej samej produkcyi 500 mk. dziennie postawiła nas wobec bardzo trudnego zadania, a mianowicie wyszukania środka, aby cios ten, powodujący wprost straty, już osłabić. Podwyższenie ceny na Noblessy z 15 fen. na 20 fen. lub pogorszenie gatunku mieszanki znaczyłoby markę tak ulubioną przez publiczność skazać na zagładę. Zaprowadzić maszynową robotę dla względów poprzednio podanych nie chcieliśmy, pozostał zatem jedynie sposób zmiany opakowań na tańsze i małe podniesienie ceny hurtowej. Racya, że część robotnic, około 200 kartoniarek wydaliliśmy. Wydalonym jednakże pozostawilismy do woli przerzucenia się do robienia papierosów. Większa część ich zgodziła się na to zaraz, tak, że fabrykę kartonów na Butelskiej ul. zamieniliśmy niezwłocznie na fabrykę papierosów, reszta zaś z bardzo małymi wyjątkami, po niedługim czasie również do nas wróciła częścią także do papierosów, a część jest zatrudnioną obecnie przy pakowaniu i banderolewaniu tak, że równą ilość robotnic mamy obecnie co i przed podniesieniem banderoli. W ten sposób nie pozbawiwszy nikogo pracy, markę Noblesse jesteśmy w możności wyrabiać w tym samym dokładnie gatunku i po tej samej cenie co poprzednio.“

Uzupełniając opis dodam, że fabryka ma doskonale urządzoną własną centralę elektryczną wraz z maszynami do wytwarzania potrzebnego do jej pędzenia gazu, która zaopatruje całą fabrykę w światło i siłę do poruszania maszyn, windy i wentylatorów.

Fabryka posiada własną kasę chorych, do której jako członkowie należą wszyscy pracujący. Prowadzoną jest przez dwóch urzędników. Pięciu lekarzy nie licząc specyalistów czuwa z jej ramienia nad zdrowiem uczestników. Obrót pieniężny w wydatkach kasy wynosił w roku ubiegłym około 35 000 marek.

Spisawszy te spostrzeżenia moje zrobione podczas miłego dla mnie zwiedzania tej tak wzorowo urządzonej i umiejętnie prowadzonej fabryki, dziękuję Szan. Panom członkom zarządu za łaskawie udzielone mi informacye i życzę im nie tylko w ich własnym i akcyonaryuszy interesie, lecz w interesie całego społeczeństwa naszego, by ich zabiegi nad wysunięciem tego naszego polskiego przedsiębiorstwa do rzędu pierwszorzędnych w całem państwie niemieckiem uwieńczone zostały pożądanym skutkiem.



Część jednej z sal magazynu tytuniu nieoclonego w Kościanie.



W pracowni malarza.



KOGUCIK.

(Polski „Chantecler“ z przed 50 laty).

Dzieciom na Gwiazdkę
Powiem powiastkę
O koguciku —
„Kukuryku“:

Młody kogucik
Miał żółty bucik,
U każdej nogi
Piękne ostrogi,
Grzebień czerwony,
I dziob zielony,
Ogon wspaniały, —
Był piękny cały.
Więc wszystkie kury
Szły doń w konkury:
Młode i stare,
Proste, kulawe.
Niejedna kaczka
Schnęła biedaczka,
Młode gołąbki
Szczerzyły ząbki.
Kogut ponury
Odpychał kury,
Na kaczki, gęsie
Z gniewem się trzęsie;
Dla jednej guły
Był tylko czuły.
Bo to gulątko —
Gdyby paniątko,
Młode i zgrabne,
Piękne, powabne
I miało wcale
Śliczne korale.
Kogut prawdziwie
Kochał ją szczerze,
Okradał gąski,
Gułce niósł kąski,
Okradał kaczki,
Jej niósł przysmaczki.
Tłuste ziarneczko
Gułce w gniazdeczko.
Guła też pono,
Jak to mówiono,
Dosyć mu chętna,
Nie obojętna
Za te zaloty
Dała pieszczoty.
Ale, jak wiecie,
Złe jest na świecie.
Kury żałosne,
Kaczki zazdrosne
Na nią kłamały
I obmawiały:
Że oszukuje,
Choć pocałuje,
I do indyka
Guła przymyka.
Ta sprawa cała
Się nie udała,
Na złość kurczętom,
Kaczkom, gąsiętom.
Kogucik przecie
Świadczy się w lecie,
A już w jesieni
Z gulą się żeni.
Sute wesele
Będzie w niedzielę.
A do muzyki
Staną czyżyki,
A gąsior chudy
Przysunie dudy,
A kaczor szybki
Przyniesie skrzypki,
Tłuste bekasy
Zagrają w basy,
Będzie bez liku
Gości w kurniku
Ze wsi i z miasta;
„Kukuryku“! — Basta.

Dziesiąty czyta — setny rozumie, tysiączny pisze i rzecz dziwna — wszyscy sądzą.



PIĄTEK.

Humoreska galicyjska.

Gajda był bardzo poczciwy i pracowity kolega, ale dziwnie bezradny i wiecznie się żalący na feralny piątek, w który to dzień nigdy się mu nic nie wiodło.

Chodziliśmy razem do gimnazyum św. Anny, siedzieliśmy obok na jednej ławie i razem „ryliśmy" z rozmaitych przedmiotów nauki szkolnej.

— Bo pomyśl tylko — mówił wracając po szkole do domu — w każdy inny dzień mi się uda, a przyjdzie ten nieszczęsny piątek, uczę się, kuję cały wieczór dnia poprzedniego, przed ósmą modlę się jak anioł w kaplicy św. Jana Kantego, błagając św. profesora o pomoc i zmiłowanie i ani rusz...

— Mój drogi — przerwałem mu — pochodząc ze wsi, przejąłeś się zabobonem ludu, u którego dzień ten uchodzi za nieszczęśliwy. Ale się pociesz, bo i innych przygody spotykają nie w piątki, to w świątki. Przecież przysłowie mówi, że kto w piątek śpiewa, to w niedzielę płacze...

— Gadaj zdrów, ale w niedzielę niema lekcyi.

Nie dał sobie wyperswadować i z goryczą narzekał na swe upośledzenie.

— To prawda — tłomaczył mi — że jest kilka dni w roku, w które każdemu strzedz się należy, bo są feralne, jak: ostatni kwietnia, kiedy się narodził zdrajca Judasz, pierwszy sierpnia, kiedy Kain zabił Abla, no i... pierwszy grudnia, kiedy Pan Bóg skarał Sodomę i Gomorę, ale żeby kto 52 piątki do roku, jak ja pokutował... i drżał na myśl, że w każdy piątek znowu coś nieszczęsnego go spotka, to straszne!

Śmiałem się z jego wiary w gusła, a jednak czy ta piątkowa nieszczęsność była tylko przypadkową, czy może pochodziła z wewnętrznej wiary w fatalność tego dnia, niech czytelnik osądzi.

Oto Gajda urodził się w piątek i w tydzień później, a więc także w piątek, został uroczyście ochrzcony.

Na chrzcie, na którym mu dano imię Kasper, już mu się zdarzył przykry wypadek. Podrażniony niemiłym smakiem soli, darł się tak niemiłosiernie, że krzykiem swoim zgłuszył słowa księdza jegomości i kumów, z czego ci ostatni złe wyciągali na przyszłość prognostyki.

Ów dzień urodzin i chrzcin prześladował go całe życie. W każdy inny dzień wszystko mu szło jak po jaju, niechnoby w jaki piątek wziął się do czego każda sprawa w łeb brała.

Było to tak, jak w owej bajce, gdzie wszystkie boginie na chrzciny zaproszono z pominięciem Frii, bogini piątku, która postanowiła się mścić za ten despekt na nieszczęsnym Kasperku przez całe życie. (Piątek w mitologii skandynawskiej poświęcony jest Frii, małżonce Odina, a nie Freyji, bogini miłości, jak sądzą niektórzy).

Że tak było, przekonałem się wiele razy. Proszę tylko posłuchać.

Przypadkowo, czy z dopustu owej bogini, na piątek wypadła serya, w której Gajda i ja mieliśmy zdawać egzamin dojrzałości. Wiadomość ta uderzyła w niego jak grom. Chodził jak piąte koło między kolegami i ciągle mię nudził swojem:

— Bój się Boga, co ja zrobię?

Już... już miał odstąpić, ale zdołałem mu wyperswadować, że młodzieniec prawdziwie wykształcony i dojrzały, nie sztubak, powinien przecie już raz otrząsnąć się z uprzedzeń i zabobonnych guseł. Siadł tedy i niktby nie dał wiary, spalony został na trzy miesiące... z języka niemieckiego, z którego przez całe gimnazyum miał zawsze dobre noty.

— Widzisz, masz piątek! — mówił mi ze łzami w oczach. Przed komisyą stanąłem jak słup soli... język mi się w trąbkę zwinął... i ani rusz! — Masz piątek!

Na uniwersytecie, ile razy się kolegom z owego fatalnego piątku zwierzał, drwiono z niego i brano na fundusz.

— Koń by się śmiał z twego piątku! — wtrącił ten i ów i nie nazywano go inaczej, tylko Gajda Piątek.

To też Gajda stał się ostrożny, milczący i niedowierzający ludziom, a tak drażliwy, że byle słówko dowcipniejsze rzucone przez kolegę, brał za osobistą zaczepkę.

Pierwsze dwa lata szło jako tako, uważałem tylko, że Kasper w piątki nie zjawiał się wcale na wykładach.

Nadszedł pierwszy egzamin państwowy, t. zw. historyczny. Pod koniec kursu zdawano dzień w dzień te egzamina. Ostatni termin wyznaczono na sobotę 20-go lipca. Gajda wybrał sobie skwapliwie ten dzień egzaminu, unikając, jak dyabeł święconej wody, fatalnego piątku, tem więcej, że sumienie mówiło mu jakoś niewyraźnie co do prawa rzymskiego, które po kilkumiesięcznem kuciu taki galimatyas zrobiło w jego głowie, że zmuszony był odroczyć ten egzamin na ostatni termin.

— No... ale jakoś to będzie, bo widzisz — mówił mi — to przecie nie piątek, a jak św. Jan Kanty w inne dni mi pomógł — to i Matka Boska pomoże!

Aż tu stary profesor prawa rzymskiego nagle ogłasza na drzwiach egzaminacyjnej sali, że z powodu wyjazdu do Karlsbadu, kandydaci, którzy mieli zdawać egzamin w sobotę, mają się zgłosić w piątek, on bowiem jest tak długą pracą osłabiony, że już w sobotę musi wyjechać z porady lekarzy do kąpieli.

— Masz stary dyable kaftan! — a to mi się miele! Co tu robić?

Postanawia znowu odstąpić od egzaminu. Perswadują mu koledzy, tłomaczą... Gdzie tam, jakby mył Murzyna. Murem stanął i żadną miarą przekonać się nie dał.

Dopiero w sam dzień egzaminu poszedłem rano do niego, wpakowałem go do doróżki i przywiozłem do kolegium.

—Tere, fere, twój piątek, głupie gadanie, siadaj i basta!

Dał się nareszcie nakłonić, ale zawistna Fria znać tylko na to czekała.

Wszystko poszło jak z płatka, tylko z owego nieszczęsnego prawa rzymskiego palą go znowu na trzy miesiące.

Biedny Kasper zmartwiał, na oczy padły mu ciemności, na wpół omdlałego wyprowadzili go koledzy z sali na korytarz.

Zdusił w sobie żałość, uciekł do domu i odtąd postanowił sobie i zaprzysiągł solennie, jak dżumy unikać wszelkich piątków.

Ale są rzeczy w życiu, których uniknąć niepodobna...

Minęło lat kilka. Gajda usunął się od świata, od ludzi stronił, wszelkich zebrań koleżeńskich unikał, a zwłaszcza w piątki, w które z całem nabożeństwem pościł, a nawet suszył, pijając tylko herbatkę, był bowiem święcie przekonany i wybić sobie z głowy żadną miarą nie dał, że ile razy w ten dzień coś tęższego zjadł, nigdy mu to na zdrowie nie wyszło.

Doczekał nareszcie chwili, że i przed jego wrotami słońce zaświeciło, bo oto zadrwiwszy z mściwej Frii, zdał ostatni egzamin i doktoryzował się notabene nie w piątki i zaraz na wstępie otrzymał znakomitą posadę koncypienta adwokackiego u dra Goldhausera w prowincyonalnem mieście.

Przybywszy na miejsce, zaraz na wstępie dowiaduje się, że jego pryncypał prowadzi ważne interesa nafciarskie Towarzystwa hanowerskiego, a że on, t. j. Goldhauser, ściśle obserwuje swój obrządek, posiedzenia zaś tego Towarzystwa przedłużają się do późnego wieczora w każdy piątek...

Bitemu psu — dość kija pokazać.

Gajda zbladł jak chusta, język i oczy kołem mu stanęły...

— Jak to?! w pią... piątek? — wybełkotał i zimny pot oblał jego zafrasowane czoło.

— No, w piątek! cóż to dziwnego? A że tego dnia zwykle wcześniej wychodzę z kancelaryi, więc pan obejmiesz ten referat.

Do słowa przyjść nie mógł. — Szewska pasya go porwała. Zewsząd na niego bije ten przeklęty piątek!

— Jeżeli tak... — zdołał wykrztusić — to pan daruje, panie mecenasie, ale miejsca objąć nie mogę i jeszcze dziś wracam do Krakowa.

—Czyś pan zwaryował?...

— Nie zwaryowałem wcale, ale w piątki nie obejmuję żadnych referatów!

Tu wyjaśnił mecenasowi powody i po długich układach przyjmuje w końcu miejsce, ale pod warunkiem, że te ważne posiedzenia przełożone zostaną na czwartki.

Goldhauser słyszał wiele o zdolnościach i mrówczej pracowitości dra Gajdy i zgodził się na to ustępstwo.

Gajda odetchnął i pokazało się, że nie zawiódł zaufania swojego pryncypała. Interesa prowadził znakomicie, tylko sobie wymawiał i prosił, aby mu w piątki dano święty spokój. Będzie pisał, materyały do spraw na cały tydzień przygotowywał, ale żadnego procesu w ten dzień przeprowadzać się nie podejmuje.

Zdarza się raz, że na oznaczony termin sądowy zjeżdża z Wiednia obrańca pewnej firmy, która prowadziła kilkakrotnie proces z wyżej wzmiankowanem Towarzystwem. Gajda jest pewny wygranej i nawet nie pyta się o nazwisko zastępcy strony przeciwnej.

Tym razem jednak fortuna p. Kasprowi nie dopisała, bo proces przegrał z kretesem. Przy zakończeniu interesu, mimo przegranej przeciwnicy podają sobie ręce i przedstawiają się wzajemnie.

Jakież było zdziwienie i osłupienie Gajdy, gdy posłyszał, że obrońca strony przeciwnej nazywa się dr. Freitag.

Zakłopotał się i zmieszał niemało, ale musiał rzecz politycznie zdysymulować. Uderzył się tylko tajemniczo w czoło i pomyślał:

— No, teraz mi nie dziwno wcale, żem ten proces przegrał!

Po przepisanych latach praktyki adwokackiej, po roku praktyki sądowej, znowu się wiechciem mściwej Frii wywinął i zdawszy wyśmienicie adwokacki egzamin, otworzył w jednem z większych miast Galicyi własną kancelaryę, jako bardzo zdolny adwokat krajowy.

Nawałowi spraw podołać nie mógł i gdym go raz po kilkunastu latach odwiedził, już w sieni parsknąłem śmiechem, ujrzawszy na drzwiach jego kancelaryi, tuż obok emaliowanej tabliczki z nazwiskiem pożółkłą kartkę z następującym napisem:

„Zawiadamiam P. T. klientów swoich, że z powodu nawału prac i referatów w piątki nie urzęduję wcale.

Dr. Gajda.“

Kartka ta dziwaczna pomnażała mu, jak się dowiedziałem później, klientów.

Do jakiego stopnia zdziwaczał na punkcie piątków i wszystkiego, co bodaj z nazwiska ten dzień przypominało, dowodzi historya, z której po kordyalnych uściskach i przywitaniach zwierzył mi się na wstępie:

— Oto, wyobraź sobie, mój kochany — mówił mi — w tych dniach zjawia się u mnie hr. Z. z pod Torunia, zamożny bardzo obywatel, który w naszej okolicy kupował wielkie dobra. Wezwany zostałem przez niego do spisania kontraktu kupna i załatwienia całej sprawy, za co miałem otrzymać honoraryum w poważnej kwocie kilkunastu tysięcy guldenów. Siadamy do pertraktacyi, w ciągu której dowiaduję się, że hr. Z... pochodzi... z Piątkowa! Skoczyłem jak oparzony i mimo próśb osłupiałego ze zdziwienia hrabiego, nie chciałem podjąć się tej sprawy. Byłem najwięcej przekonany, że jeżeli ten kontrakt napiszę, w tej chwili umrę, lub mnie większe jeszcze spotka nieszczęście. — Milsze mi życie, niż tysiące, i tak mi się bardzo dobrze powodzi, mimo, iż w swem dziesięcioleciu od czasu otwarcia kancelaryi już przez 520 piątków żadnych spraw nie załatwiałem wcale.

W dalszym ciągu zwierzeń dowiedziałem się, że jest dotąd nie żonaty, mimo, że czterdziestka już mu minęła. Zakochał się tylko raz w życiu w bardzo przystojnej i bogatej pannie Stasi, córce jednego ze swoich pryncypałów, ale hultaj pannica, dowiedziawszy się o jego dziwactwie, aby go z tej piątkowej choroby wyleczyć, zażądała koniecznie, aby się jej w piątek oświadczył. Żadną miarą na to się zgodzić nie chciał. Uprzedził go w zabiegach jego rywal i kolega, który nie wahał się wcale w piątek nietylko oświadczyć, ale i razem zaręczyć z piękną panną Stasią.

W kilka lat później byłem znowu w mieście X. i postanowiłem go odwiedzić, ale ku wielkiemu rozżaleniu dowiedziałem się, że poczciwy mój Kasper już nie żyje.

Zastałem w jego dawnem mieszkaniu najstarszą jego siostrę, która mu za życia gospodarstwo prowadziła, i która mi ze łzami w oczach opowiadała, że dziwnym zbiegiem okoliczności, Gajda rok temu w piątek na zapalenie płuc zachorował i w tydzień później, a więc także w piątek umarł, a leczył go przypadkowo czy przez mściwą Frię nasłany, bardzo zdolny i renomowany lekarz... dr. Piątkiewicz.

Czy to wszystko tylko przypadkowo?...

L. W. („Dz. Ch.“)



Anegdotka.

. . . .

Po oceanie płynął okręt, ścigany przez głodnego zawsze wieloryba.

Okręt zmykał... Wieloryb gonił... Dokoła pląsały na falach pomniejsze ryby żarłoczne, oczekując swojej cząstki żeru... A i skrzydlate drapieżniki towarzyszyły okrętowi, który miał zginąć.

W gonitwie nastąpił moment krytyczny...

W chwili najgroźniejszego niebezpieczeństwa sternik, porwawszy ulubiony swój stołek, na którym całe lata siadywał, cisnął go w łeb wielorybi...

Lecz potwór; zręcznie siedzenie sternikowe połknąwszy, płynął dalej.

Wówczas rzucono mu kosz pomarańcz, ale i jego spotkał los stołka.

Wyrzucano następnie po kolei na pastwę żarłocznej ryby:

...chińskiego pirata;

...francuskiego poetę;

...niemieckiego komiwojażera

...i polskiego emigranta.

Lecz dopiero po połknięciu berdyczowskiego żydka wieloryb nie wytrzymał i zdechł.

Na okręcie zapanowała radość.

Dowleczono nieboszczyka harpunem do brzegu, a gdy go rozpłatano odpowiedniemi narzędziami, oczy o-

Chińczyk kosę zaplatał.

Żydek siedział na sternikowym stołku i sprzedawał pomarańcze...

Chińczyk kosę zaplata.

Niemiec szukał piwa...

Francuz kuplety fabrykował...

A Polak, wychodząc z zasady, że zawsze powinien być tam, gdzie zgoła jest niepotrzebny i nie zadawalając się swoim przymusowym pobytem w wielorybim brzuchu, zalazł w tak ciasny owego brzucha zakątek, że omdlał...

Leżał tedy, a raczej tkwił w trze-

wiach napoły martwy, a w zaciśniętej dłoni trzymał „Dziennik Petersburski“, opisujący rusko-francuskie uroczystości — z udziałem... polskich wolontaryuszów.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 6-go marca 1298 śmierć błogosławionej Heleny, księżny Lubickiej. — 1447 hołd książąt śląskich w Krakowie. — 1557 pobicie Tatarów pod Skowrodkami.

Dnia 7-go marca 965 religia chrześciańska zaprowadzona do Polski. — 967 publiczne palenie bałwanów pogańskich. — 1548 królewicz Zygmunt August odbiera rządy w Prusach.

Dnia 8-go marca 1223 śmierć Wincentego Kadłubka. — 1347 wiekopomny sejm prawodawczy w Wiślicy. — 1438 nadanie przez sejm statutu konfederacyi w Korczynie. — 1569 województwo podlaskie przyłączone do korony. — 1831 walny zjazd obywateli Ukrainy w Czerniawce.

Dnia 9-go marca 1440 posłowie węgierscy przed Władysławem III. — 1508 rozproszenie Wołochów nad Dniestrem. — 1589 książę Maksymilian wypuszczony z niewoli. — 1630 śmierć Mikołaja Wolskiego, fundatora Kamedułów na Bielanach.

Dnia 10-go marca 1424 Zawisza Czarny podejmuje u siebie królów bawiących w Krakowie. — 1529 śmierć Janusza, ostatniego księcia mazowieckiego. — 1637 śmierć Bogusława, ostatniego księcia pomorskiego.

Dnia 11-go marca 1646 śmierć hetmana Stanisława Koniecpolskiego. — 1797 przybycie do Petersburga Stanisława Augusta.

Dnia 12-go marca 1582 wjazd Stefana Batorego do Rygi. — 1656 rozbicie Szwedów pod Jarosławiem.

Humor i satyra.

Żałuje...

— Ty hultaju, mówisz, że siostrzyczka głupia! Powiedz, że tego żałujesz.

Malec: — Okropnie żałuję, że siostrzyczka głupia.

* * *

Rodzaj męski i żeński.

— Jaka jest różnica pomiędzy fortem a fortecą?

— Nie wiem... Prawdopodobnie fortecę trudniej zmusić do milczenia.

* * *

Łamigłówka literacka.

Ułożył czytelnik naszego pisma p. H. W. z Ropczyc w Galicyi.

Ułożyć 12 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko (pseudonim) współczesnego powieściopisarza i publicysty polskiego a końcowe również czytane z góry na dół jeden z jego utworów.

Znaczenie wyrazów.

1. Powieść Sewera.
2. Powieść Sienkiewicza.
3. Utwór Słowackiego.
4. Filozof amerykański.
5. Powieść Niemierowskiego.
6. Utwór Szukir Beja.
7. Dostojnik kościelny.
8. Utwór Orzeszkowej.
9. Filozof niemiecki niedawno zmarły.
10. Powieściopisarz polski.
11. Autor śpiewnika Mickiewiczowskiego.
12. Autor Oryginałów.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 10-go marca włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie tak zagadki jak też wyrazów.

Rozwiązanie łamigłówki, zamieszczonej w numerze 8-mym:

W	i	k	t	o	r	y	a
K	a	p	i	t	u	ł	a
Ż	e	r	o	m	s	k	i
M	a	r	s	y	l	i	a
T	a	l	i	z	m	a	n
K	a	r	a	w	a	n	a
S	a	r	a	j	e	w	o
K	o	n	w	a	l	i	a

Dobre rozwiązanie nadesłali do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 24-go lutego włącznie następujące osoby:

Z Poznania: pp. Edmund Ruciński, Irena Mrówczyńska, St. Koszewski, Janek z pod Góry Przemysława, Kazimierz i Franciszek Kledeccy.

Z Poznańskiego: pp. Stanisława Chmarówna z Wrześni, Jan Kanikowski ze Śremu, Z. Wróblewska z Kościana, Stanisława Strzelecka ze Strzelna, Jaroch Czabański z Zaniemyśla, Dr. Zmudziński ze Skalmierzyc, Melania Tuszewska z Wolsztyna, Tola Kozłowska ze Stęszewa, Władysław Kajak z Czacza, J. Wiewiórowski z Bagateli pod Miłosławiem, Aleksanderek z Wiatrowa.

Z Prus Zachodnich: pp. Helena Gniatczyńska i Marya Jankowska z Torunia, St. Balcerska z Wąbrzeźna.

Ze Śląska: pp. Klara Musialik z Rozbarku, Jan Badura z Roździenia, M. J. Szczurek i Wł. Dąbrowski z Cieszyna (Śląsk austryacki).

Z obczyzny: pp. Stefania Dużyńska i Marya Kulińska z Welzów na Dolnych Łużycach, Jan Springer z Duisburga-Meiderich.

Nagrodę otrzymali: pp. Stanisława Chmarówna z Wrześni, Marya Jankowska z Torunia i Marya Kulińska z Welzów.

Z Galicyi: pp. Marya Świtkowska, Adam Świerkosz, Władysław Fiala i Władysław Lutyński z Krakowa, Karol W. Dębowski i Teresa Gaczołowa z Wieliczki, Anna Rejman z Łąki pod Strażowem, Jan Nidecki z Wadowic, Piotr Brożbar z Jarosławia, Bronisław Manec z Bochni, Bronisława Tarnowska z Racławówka Zabierzów ad Rzeszów, Feliks Rajter z Krowodrzy, Mieczysław Kościński z Żarek, Marceli Cisek z Brzeska, Józef Drewko z Suchodola, Maryan Bernadzki i ks. Dr. Teofil Chciuk z Przemyśla, ks. St. Sadowski z Winnik.



CHARCIARZ.

Obrazek myśliwski.

Napisał

JORDAN.

(Ciąg dalszy).

Więc obok ostu kolczastego, dowodzącego pokładu dobrej gliny, zielenił się piołun, lubownik szczerego piasku — obok sitowia i trzciny, zdradzających istnienie bagienka, żółciły się wspaniałe dziewanny, czujące wstręt do wielkiej wilgoci. Tu i ówdzie pełzały rdesty, kraśniały maki polne, gdzieniegdzie kępy koziej bródki wystrzeliwały ponad całe płaty miękkiego wrzosu i wonnej macierzanki. Słowem, przyroda, pozostawiona sama sobie, nie hamowana w swej twórczej fantazyi, ani ostrzem lemiesza, ani kolczastą broną, umaiła to ustronie, jak dywan jaki, tysiącem barw różnorodnych, setkami roślin i kwiatów, wśród których nigdy prawie stopa bydlęcia lub raciczka owcza nie postały.

Ciszę, jaka tu panowała, przerywał tylko szum lasu, i drobny świergot polnych ptasząt.

Wstrzymując prawie oddech w piersiach, myśliwi nasi na skraju lasu stanęli, rozstawiwszy się między sobą, na odległość paruset kroków; pan Albin ze swoją smyczą w pośrodku, pan Kacper i Anastazy na prawem skrzydle z trójką chartów; Sobek ze swoją parą na lewem, gajowy tymczasem, wszedł zwolna między pieńki.

Słońce skryło się za chmury szare i gęste; od zachodu przeciągać zaczął wiatr jesienny, przeciągły, smętny, żałosny, szeleszcząc gałęziami drzew i kołysząc zwolna, wystającemi na bagienkach trzcinami. Wszystko tedy złożyło się jak najpomyślniej, w taką bowiem wietrzną pogodę, lis trudniej zwęszy niebezpieczeństwo, i łatwiej objechać się daje.

Gajowy przedzierał się ostrożnie między pieńkami, z góreczki na górkę, a bystrem swem okiem, tam sięgał szczególniej, gdzie mógł się nory domyślać.

Nagle przystanął, ręką w górę wzniesioną, baczność myśliwym zalecił; jakoż w rzeczy samej, z pomiędzy ostów i pieńków, ukazał się po niedługiej chwili lis...

Gajowy skręcił szybko niby w stronę przeciwną, żeby go zbytnio nie płoszyć, lis jednak przebiegły, nie dowierzając temu manewrowi, skoczył na górkę, spojrzał zezowatem swem ślepiem raz i drugi dokoła, i wyciągnąwszy się jak struna, sunął ku zagajnikowi, na skraju którego myśliwi nasi stanęli.

Pan Kacper spuścił charty, lis przystanął, zoczywszy psy na prawem skrzydle, rzucił się w lewo, lecz tu już spotkał się ze smyczą pana Albina, która mu drogę na przełaj zabiegła. W jednej chwili zwrócił się w tył, przez bagienko, dróżką sobie tylko wiadomą, sunął tak lekko a swobodnie, jak gdyby ziemi nie dotykał. Ciężkie psy pana Kacpra w pierwszem zaraz błocie ulgnęły; z trudnością tylko i zwolna, wyrywając kosmate łapy, z gęstej siatki błotnych roślin, posuwały się naprzód, lekka natomiast Siwka pana Albina, idąc ścieżką przez lisa wydeptaną, doszła go, dając mu obrót jeden i drugi, a w czasie tego, dotarł też równocześnie i Ścigaj.

Na góreczce otoczonej bagnem dokoła, rozpoczęły się harce. Lis obiegał górkę, wystawiając kitę, jak dzidę... ilekroć psy, patrzące tylko na tę kitę, dochodzić go zaczynały, lis zwracał ogon na prawo, a sam rzucał się na lewo; manewr taki, kilkanaście razy już się powtarzał. Lis brał się na różne sposoby, to wdzięczył się ogonem, jak piesek pokojowy, to stroszył tużycę, jak hyena, to czołgał się przez bagienko, to znów na lada twardszym gruncie, wyciągał się w biegu, jak strzała. Z kępy na kępę, skakał ze zwinnością wiewiórki, okręcał się w miejscu, suwał bokiem to w prawo, to w lewo, aż nareszcie uderzony w pierś, szeroką czaszką Ścigaja, zachwiał się, łba podniósł, i w jednej chwili, został chwyconym zębami charta, za gardło.

Walka trwała kilka sekund zaledwie, lis zebrawszy ostatnie siły, wspiął się na zadnich łapach, lecz Ścigaj wisiał mu, jak pijawka u szyi, nie puszczając swej ofiary, póki jakikolwiek opór czyniła; dopiero gdy już krew strugą ze zranionej szyi popłynęła, gdy już mógł bezkarnie miotać lisem na prawo i lewo, cisnął nim o ziemię, a sam, mocno zjuszony pysk swój, począł ocierać o trawę.

Nadbiegli też i myśliwi, z uradowanym panem Albinem na czele.

— Powinszować, powinszować! — wołał pan Anastazy, zazdroszcząc w duszy zwycięztwa — to mi piesek, czołem przed nim, ozłociłbym Ścigaja.

— Może zamiast tego, masz sąsiad świeżej słoninki — odrzekł pan Albin — smakowałaby mu lepiej, jak pochwały.

— Ja mam — zawołał Sobek, dobywając z kieszeni, mocno zatłuszczony papier — naści pieseczku... na...

— To już mnie ją daruj — podchwycił pan Albin, biorąc słoninkę — pies tylko z ręki swego pana dostawać jadło powinien, inaczej narowi się, i przestanie być posłusznym.

— Oj ukradłbym ci pieska, choć nigdym cudzego nie zagarnął. Ścigaja bym ci sprzątnął bez najmniejszego skrupułu.

— Mój Sobku — rzekł p. Albin — popracuj tyle nad swojemi, co ja nad moim, a będziesz taką samą miał pociechę.

— Alboż to psa nauczysz brać lisów, jeśli z natury nie cięty?

— Bezwarunkowo... jak złość w człowieku, tak ciętość w charcie wyrobić można, ale trzeba niejedno poświęcić. Spytaj się u mnie w domu, ile to Ścigaj drobiu nasamprzód nadusił, ilem mu prosiaków na pastwę poświęcił. Z prosiąt dopiero bezbronnych, puściłem go na domowego kota, potem na pieska pokojowego... i trzeba było nieszczęścia, że byłto psiak, faworyt mojej świekry; co prawda, straciłem na zawsze łaski tej szanownej matrony, która mnie zresztą, jak wszystkie świekry, nigdy szczególnemi nie darzyła afektami, ale też na jej pudelku, Ścigaj po raz pierwszy prawdziwej nabrał ciętości. Od owej pory, rzucał się na każdego psa, i kilkanaście tych stworzeń wydusił, bez żadnego szwanku dla siebie. Wtedy dopiero, zacząłem go brać na lisy... i oto moja nauka!

Tu pan Albin dumnie spojrzał po obecnych, głaszcząc

zdyszanego Ścigaja, i ocierając na nim, resztę objuszonej sierści.

— A cóż Kacperek tak milczy? — spytał Sobek.

Ale pan Kacper nic nie odpowiadał, jeno z całem natężeniem wzroku, przyglądał się rozciągniętemu na kępie lisowi.

A było na co popatrzeć, bo jak już się rzekło, okaz to był przepiękny. Od „wietrznika“ do końca „kity“, przeszło półtora łokcia miał długości, przy czarnym jak heban wietrzniku, zarysowała się biała delikatna pręga, ciągnąca się pod gardłem, przez pierś szeroką i niknąca na przednich łapach.

Z pod wspaniałej tużycy, koloru prawie czerwonego, przezierał gęsty popielaty puszek, szeroka kita, lśniła się włosem długim, a na jej końcu, bielił się tak zwany „fijołek.“ Leżał już sztywny, spokojny, zdawaćby się mogło, że spał tylko, gdyby nie różowa piana, która mu u pyska pociekła, i gdyby nie krwią zaszłe oko, z pod ciemnej dobywające się powieki.

Pan Kacper patrzył weń ciągle, a od czasu do czasu, tłumione z piersi dobywał westchnienia.

— Mój Boże! — szeptał, potrząsając głową.

— Czy ci go tak żal Kacperku? — pytał znów Sobek.

— O nie — odparł w zastępstwie Kacpra pan Anastazy — jemu żal tylko, że to nie on go uszczuł.

— Przyjemność ta sama — wtrącił pan Albin.

— Ale rezultat nie ten sam — ciągnął dalej pan Anastazy — bo skórkę kto inny zabierze.

Na te słowa p. Kacper uśmiechnął się, i spojrzał błagalnie.

— A co? czym nie zgadł?... jemu tylko tej skórki żal.

— Rzeczywiście — odrzekł zagadniony — tak pięknej skórki w jesieni, jeszczem póki życia mego, nie widział.

— I akurat brakuje ci takiej jednej tylko, do twej lisiury.

— Jakbyś zgadł mój Sobku — szepnął Kacper.

— Jest to pewno owa feralna trzynasta skórka — począł nieubłagany p. Anastazy — o której już od pięciu lat słyszę.

— I ja... i ja — powtórzył Sobek.

Od lat też pięciu, co kto lisa uszczuje, Kacprowi zawsze tej jednej jedynej skórki brak było i przymówiwszy się gładko, zabierał ją jeszcze gładziej dla siebie.

— Rzeczywiście bez żartów, już od lat kilku czekam na tę trzynastą skórkę napróżno.

— Kiedyż już u licha, sfundujesz sobie tę lisiurę?

— Nie długo... nie długo...

— On sobie widać jakąś olbrzymią delję podszyć pragnie.

— Ale nie żartujcie — odparł ośmielony już pan Kacper — z jakim trudem zebrałem dwanaście skórek, Bóg jeden wie... byłbym już na tem poprzestał, ale kuśnierz kanalia, wiecie... Lejzorek z miasteczka, nie może zabrać się do kożuszka, póki mu trzynastej skóry nie przywiozę, bo jak twierdzi nie ma z czego spódnicy całej podszyć. Modlę się więc do tej trzynastej skórki, ale jak dotąd napróżno.

—Widać, że niema głupich — wtrącił złośliwie pan Anastazy.

— Feralna liczba — dodał Sobek.

— Moje psy lisa brać nie chcą — ciągnął dalej pan Kacper, udając głuchego — jeśli mnie więc jaki życzliwy sąsiad nie poratuje, zmarznę tej zimy...

— No, to niech ci służy to lisisko — rzekł pan Albin, zmiękczony błagalnemi wejrzeniami pana Kacpra.

— Ale... o... żenowałbym się...

— No weź, weź... proszę cię.

— Nie śmiałbym dalibóg...

— Bierz!... bo się namyślę... — dodał z uśmiechem.

— No, jeśli tak koniecznie to ci dziękuję! — odparł szybko pan Kacper, trocząc coprędzej lisa do swego siodła, z obawy, żeby się później pan Albin nie namyślił.

— Ale pamiętaj, że to już ostatnia skórka — dodał Sobek — musisz nam dać słowo, że się nigdy więcej do żadnej przymawiać nie będziesz.

— Ale słowo... słowo... niechże mnie Bóg broni!... chybaby mi którą myszy pocięły.

— O, widzicie! — krzyknął, śmiejąc się pan Anastazy — już sobie furtkę zostawia.

— Na nic mu się to nie zda — zakonkludowali sąsiedzi, dosiadając koni.

Pan Kacper nie zważał już na te docinki — uradowany z tak pysznego nabytku, roił już gdzie tę skórkę na surducie umieścić wypadnie, i próbując raz jeszcze, czy lis dobrze został przytroczony, siadał na konia, który się z pewnym niepokojem, na nową tę zdobycz oglądał.

Wieczór się zbliżał, myśliwi ruszyli już napowrót przez lasek. Pan Anastazy na szpicy, za nim Sobek, dalej pan Albin, wreszcie uszczęśliwiony pan Kacper.

Nagle, jak cień jakiś złowrogi, przemknął koło jeźdźców rozhukany bułanek pana Kacpra, potrącając koni, ludzi, i sadząc przez charty duktem z boku idące.

— Ratujcie! — wrzasnął tylko rozpaczliwie pan Kacper w przelocie, i z głową obnażoną, surdutem rozpiętym i przez pęd wiatru unoszonym, znikł wraz z koniem między drzewami.

— Co się stało?... co się stało?! — zawołali trzej towarzysze, biegnąc w las za nim.

— Lis musiał być zaczajony! — krzyknął gajowy, podążając także.

— Nic innego! — powtarzali sąsiedzi, kłusując, ile im sił starczyło — biedny Kacper zabije się w lesie.

Im las stawał się gęstszym, tem pospiech coraz był bardziej utrudnionym, z kłusa więc, radzi nie radzi, przejść musieli jeźdzcy w truchcika, gdy po chwili, pan Albin jęk zdala usłyszał. Popędziwszy w tym kierunku kroków kilkadziesiąt, nagle... osadził konia w miejscu i stanął, jak wryty... oczom bowiem jego, straszny się widok przedstawił.

Pomiędzy dwiema zbliżonemi do siebie sosnami, leżał na wznak pan Kacper, z czoła płynęła mu krew, zalewając oczy i biegnąc do w pół otwartych ust. Nieco dalej pod grubszym dębczakiem, łbem prawie o pieniak oparty, rozciągnął się zabity w pędzie bułanek; u zadniego uda wisiało zdechłe już poszarpane o drzewa lisisko, z kłami i pazurami w mięśnie biednego konia wpitemi.

Pan Kacper jęczał tylko, jedną ręką przysłaniając ranę krwią świeżą ciągle broczącą.

— Wody.. — szepnął cicho, ujrzawszy nad sobą pana Albina.

— Wody!... wody!! — wołał na cały głos pan Albin, wskazując tym sposobem kierunek, w którym ich myśliwi szukać mieli; jakoż po chwili nadciągnął gajowy, a za nim Sobek i pan Anastazy. Nie tracąc czasu, zabrali się zaraz do zatamowania krwi, wódką na chleb nalaną, i tym samym nektarem w braku wody, ocucili na wpół nieprzytomnego sąsiada.

Po kilku haustach ożywczego trunku, pan Kacper podniósł głowę z murawy, i zwolna unosząc się na rękach, usiadł oparty o ramię gajowego.

— Co się tu stało? — pytał trwożliwie pan Anastazy.

— Spojrzyj tam — odrzekł pan Albin, wskazując na zabitego bułanka.

(Dokończenie nastąpi.)

WYDRĄŻONA IGŁA.

Z francuskiego tłum. **R. S.**

(Ciąg dalszy.)

Zadanie to było trudne. Lecz po głębokiem zbadaniu Beautrelet wynalazł jeden szczegół wszystkim zdarzeniom wspólny. Wszystkie bowiem zdarzenia miały miejsce w granicach dawniejszej Neustryi, która równa się mniejwięcej dzisiejszej Normandyi. Wszyscy bohaterzy tej fantastycznej awantury są Normandczykami, albo zostają nimi, lub też działają w kraju normandzkim.

Jakie zajmujące studyum przez wszystkie wieki! Jaki wzruszający widok, patrzeć jak wszyscy ci baronowie, książęta i królowie z różnych krańców świata spotykają się na tej małej przestrzeni ziemi!

Na chybił trafił Beautrelet przeglądał historyę. Ów Roll, czy Rollon, to pierwszy książę *Normandyi*, zna tajemnicę o Wydrążonej igle, po zawarciu pokoju w Saint-Clair-sur-Epte!

To Wilhelm Zdobywca, książę *Normandyi*, którego chorągiew posiadała wyżłobienie podobne jak igła!

To Henryk Plantagenet, książę *Normandyi*, który podpisuje się: posiadacz sekretu!

To Pretextatus, biskup w *Rouen*, który udziela swemu kochanemu Merowingowi zapomogi pieniężnej i igłę.

W Rouen Jan bez Ziemi kazał zamordować sunowca swego Artura, znającego sekret!

W *Rouen* spalili Anglicy Joannę d'Arc, znającą sekret!

A sięgając do samego środka awantury, czem był dowódzca Celtów, który płaci Cezarowi okup wyjawieniem sekretu o igle, jeżeli nie dowódzcą ludów mieszkającym w Caux, w samem sercu *Normandyi?*

Hipoteza staje się coraz jaśniejszą. Pole poszukiwań zacieśnia się. Rouen, brzegi Sekwany, ziemia Caux. Zdaje się, że wszystkie drogi tam się schodzą. Gdy sekret ten zaginął dla książąt Normandyi i dla królów Anglii, którzy są ich potomkami, a stał się królewską tajemnicą Francyi, widzimy dwóch królów, których specyalnie wymieniają; Henryka IV, który oblega Rouen i wygrywa bitwę pod Arques, blizko Dieppu, i Franciszka I, który wyrzekł pełne znaczenia słowa: „Królowie Francyi znają sekret, który często wpływa na bieg spraw publicznych; na los miast!“ “

Rouen, Dieppe, le Havre... Trzy kąty trójkątu. Trzy wielkie miasta, które zajmują te trzy punkty. W środku zaś znajduje się ziemia Caux.

Nadchodzi wiek siedemnasty. Ludwik XIV pali książki, w których nieznajomy wyjawia prawdę. Zaś kapitan de Larbeyrie opanował jeden egzemplarz, korzysta ze sekretu, kradnie pewną część kosztowności, a zaskoczony przez rozbójników, umiera zamordowany. Lecz, w którem miejscu odbywa się napaść? W Gaillon, małej mieścinie położonej nad drogą, która prowadzi z Havru, z Rouen lub z Dieppe do Paryża.

W rok później Ludwik XIV. kupuje domenę i buduje zamek Aiguille. Jakie miejsce wybiera na ten cel? Środkową Francyę. W ten sposób ciekawi są zmyleni. Nikt nie szuka w Normandyi.

Rouen... Dieppe... le Havre... Wszystko mieści się w tym trójkącie... Z jednej strony jest morze, z drugiej Sekwana, z trzeciej dwie doliny, które się ciągną z Rouen do Dieppe.

Jakaś myśl rozjaśniła twarz Izydora Beautrelet. Ta przestrzeń ziemi, ta okolica płaskich wzgórz, która ciągnie się od spadzistych skał morza, do spadzistych skał Sekwany, to przecież główne pole działań Arsena Lupin!

Począwszy od dziesięciu lat, były właśnie te strony nawiedzane przez Arsena Lupin, jak gdyby w sercu ziemi Caux miał swoją kryjówkę, w tej ziemi, z którą najściślej się wiąże legenda o Wydrążonej igle.

A cały ostatni dramat gdzież się rozgrywa? W Ambrumésy nad drogą z Havru do Dieppe.

Rouen, Dieppe, le Havre, zawsze ten trójkąt ziemi.

Tak więc przed kilku laty, Arsen Lupin znając broszurę dowiedzawszy się o książce Maryi Antoniny, która ukrywała dokument, wziął go, a posiadając tak ważną rzecz, rozpoczął kampanię, *znalazł* kryjówkę, i osiadł w zdobytej ziemi.

Beautrelet również rozpoczął swoją kampanię.

Udał się w stronę morza z prawdziwem wzruszeniem, myśląc o tej samej podróży, jaką przed laty przedsiębrał Lupin, posiadając te same nadzieje, idąc na odszukanie owej wielkiej kryjówki, która go miała uzbroić w taką siłę. A trudy przedsiębrane przez niego, Izydora Beautrelet, czyż równym skutkiem uwieńczone zostaną?

Wczesnym rankiem opuścił Rouen idąc pieszo, z mocno umalowaną twarzą, mając tobołek na lasce, przewieszony przez ramię.

Szedł prosto do Duclair, gdzie zjadł śn'iadanie. Wyszedłszy ze wsi, szedł brzegiem Sekwany, prawie, że brzegów nie opuszczał. Instynkt jego wzmocniony wieloma domysłami, kazał mu się trzymać brzegów tej cudnej rzeki. Przecież rzeźby skradzione z kaplicy w Ambrumésy spławiono Sekwaną! Wyimaginował sobie flotylę małych statków wojennych, która pełniła służbę z Rouen do Havru, uwożąc dzieła sztuki i bogactwa w stronę państwa miliarderów.

— Gorze we mnie!... Gorze!... powtarzał młody człowiek.

Niepowodzenie pierwszych dni nie zniechęcało go. Posiadał wiarę pewną, niezachwianą, że na dobrej znajduje się drodze. Odnalezienie prawdy, odnalezienie kryjówki Arsena Lupin, warte było zabiegów! Wszystkie okoliczne miasta pełne były jego wspomnień! Ile to razy Lupin musiał podziwiać chwałę gotyckich w niebo strzelających wieżyc, lub wspaniałość ich rozległych ruin!

Lecz nadewszystko okolice Havru przyciągały Izydora jak promienie latarni morskiej.

„Królowie Francyi znają sekret, który często wpływa na los miast!“

Słowa ciemne, które jednak w jednej chwili stały się

dla Izydora Beautrelet jasne i zrozumiałe. Nie było to dokładne wyjaśnienie powodów, dla których Franciszek I. założył miasto w tem właśnie miejscu? Nie miało to jakiej łączności z sekretem o Wydrążonei igle?

— Tak jest... tak jest, powtarzał Beautrelet oszołomiony... W starej zatoce normandzkiej, w jednym z najważniejszych punktów Francyi powstają dwie potęgi: jedna żywa, widoczna, nowy port, który panuje nad oceanem, i otwiera drogę do świata; druga, nieznana, mroczna, tem więcej niepokojąca, że niewidzialna i niepochwytna. Znaczna część historyi Francyi i domu królewskiego tłomaczy się jasno przez tajemnicę o igle, jak również cała historya Arsena Lupin. Te same źródła energii i władzy zasilają i podtrzymują fortunę królów, jak również fortunę awanturnika.

Ze wsi do wsi, od rzeki do morza Beautrelet węszył, trzymając nos w górę, otwierając uszy, i siląc się przeniknąć martwe przedmioty. Któż mu da objaśnienie? Czy ma zapytać to wzgórze? Ten las? Czy domy tego miasta? Czy może w rozmowie z tym wieśniakiem posłyszy jakie słowo, które go objaśni?

Jednego rana śniadał w oberży, niedaleko Honfleur, starego miasta zatoki. Naprzeciw niego siedział typowy koniuch normandzki, czerwony i tęgi, jeden z takich, którzy to jeżdżą z jarmarku na jarmark, z batem w ręce, ubrani w długie bluzy. Po pewnym czasie zdawało się Izydorowi Beautrelet, że człowiek ten przyglądał mu się z pewnem zajęciem, jak gdyby go znał, lub starał się rozpoznać.

— Ba! pomyślał Beautrelet, mylę się, ja nie spotkałem nigdzie tego człowieka, więc i on również mnie nie zna.

Jakoż po chwili nieznajomy zdawał się nie zwracać na niego uwagi. Zapalił fajkę, kazał sobie podać kawę i koniak. Palił i pił. Beutrelet, gdy zjadł śniadanie, zapłacił i wstał. W chwili, gdy chciał wychodzć, kilka osób wchodziło właśnie do oberży, tak, że był zmuszony postać kilka sekund przy stole, przy którym siedział ów koniucha. Posłyszał cichym głosem wyrzeczone słowa:

— Dzień dobry, panie Beautrelet.

Izydor nie wahał się, usiadł przy nim i rzekł:

— Tak, jestem nim... lecz pan, kim jesteś? W jaki sposób mnie poznałeś?

— Nie trudno poznać... A przecież nie widziałem pana nigdy, tylko portret jego w dziennikach. Jesteś pan źle... jakby to powiedzieć... źle umalowany.

Mówił wyraźnym obcym akcentem, Izydorowi Beautrelet zdawało się po dłuższem badaniu, że nieznajomy również ma maskę, zamiast swej zwykłej fizyognomii.

— Któż pan jesteś? powtarzał... Któż pan jesteś?

Nieznajomy uśmiechnął się:

— Nie poznajesz mnie pan?

— Nie. Nigdy nie widziałem pana.

— Widzałeś mnie tak samo, jak ja ciebie. I moje fotografie umieszczały dzienniki... bardzo często... No, odgadujesz?

— Nie.

— Sherlock Holmes.

Ciekawe było spotkanie, lecz również wiele znaczące. Młody człowiek zrozumiał jego doniosłość. Wyraziwszy swoje uznanie, rzekł do Holmesa:

— Przypuszczam, że bytność pańska tutaj ma związek z nim?

— Tak...

— Więc... więc pan myślisz, że idąc tą drogą, dojdziemy do niego?

— Jestem tego pewien.

Radość, jaką odczuł Beautrelet konstatując, że jego opinia równa się z opinią Holmesa, nie była bez troski. Jeżeli Holmes dojdzie do celu ,czeka go sława, a któż wie, czy nie dojdzie przed nim?

— Masz pan pewne dane? pewne ślady? spytał Beautrelet.

— Uspokój się pan, rzekł ironicznie Holmes, rozumiejąc jego obawy. Nie idę twoim śladem. Pana zajmuje dokument, broszura, do których ja nie mam zaufania.

— A pana co zajmuje?

— Mnie, zupełnie co innego.

— Czy może niedyskretnie zapytać?

— Gdzież tam. Przypominasz pan sobie historyę z dyademem, historyę księcia de Charmerace?

— Tak.

— Nie zapomniałeś pan Wiktoryi, starej niańki Arsena Lupin, tej, która Ganimardowi umknęła?

— Nie.

— Natrafiłem na ślad Wiktoryi. Mieszka we farmie nad drogą z Havru do Lille. Przez Wiktoryę łatwo dojdę do Arsena Lupin.

— To długa droga.

— Mniejsza z tem! Zaniechałem wszelkie moje sprawy. Mam tylko jeden cel na oku dostać się do Arsena Lupin. Między nim, a mną... zacięta walka.

Wymówił te słowa z pewną wściekłością, w której przebijała nienawiść z doznanych upokorzeń, nienawiść do potężnego wroga, który sobie kpił z niego.

— Odejdź pan... szepnął... patrzą na nas.... to niebezpiecznie... Lecz spamiętaj sobie moje słowa: dzień, w którym Lupin i ja staniemy naprzeciwko siebie, dzień ten... skończy się tragicznie.

Beautrelet wyszedł zupełnie uspokojony: nie obawiał się, że Holmes go wyprzedzi.

Lecz spotkanie to dało mu jeden dowód więcej! Droga z Havru do Lille przechodzi przez Dieppe! Jest to droga prowadząca tuż nad morzem. We farmie nad ową drogą mieszkała Wiktorya, Wiktorya znaczy tyle co Lupin, gdyż jedno bez drugiego nie poruszało się, pan bez swej wiernej sługi!

— Gorze we mnie... gorze... powtarzał sobie młody człowiek... przypadek, który mi podał nowe informacye, potwierdza tylko moje przypuszczenia. Z jednej strony brzegi Sekwany, z drugiej skalisty brzeg morza, dwie te granice schodzą się w Havrze, w mieście sekretu, w mieście Franciszka I. Ten więc tylko kąt muszę przeszukać.

Z zawziętością wrócił do rozpoczętego dzieła. „To, co Lupin znalazł, i ja również odnaleźć muszę,“ powtarzał sobie bezustannie. Może Lupin znał dokładnie tę miejscowość, może był doskonalej poinformowany co do miejscowych legend, takie bowiem rzeczy mogły mu bardzo dopomódz, gdy tymczasem Beautrelet nic z tego wszystkiego nie znał. Okolicę zaś tę pierwszy raz widział, jadąc do Ambrumésy, a wtenczas nie zwracał na nią uwagi.

Lecz cóż to szkodzi! Chociażby miał dziesięć lat poświęcić swoim poszukiwaniom, nie zaniecha ich. Lupin tam był. Może go widzi, może go odgaduje. Może go oczekuje na zakręcie tej drogi, na brzegu tego lasku, przy wyjściu z tej wioski! Każdy zawód, jaki go spotkał, umacniał go więcej w jego postanowieniu.

Często siadał w naddrożnym rowie i zagłębiał się w studyum owego dokumentu, którego kopię nosił przy sobie zmieniwszy cyfry na samogłoski.

e . a . a . e . . e . a . . a . .
a . . . e . e . . e . oi . e . . e .
. ou . . e . o . . . e . . e . o . . e .
ai . ui . . e . . e u . e

Często także swoim zwyczajem leżał na brzuchu

w wysokiej trawie i myślał... myślał całemi godzinami. Miał czas.

Z zadziwiającą cierpliwością chodził od Sekwany do morza, od morza do Sekwany, przeglądając każdą okolicę dokładnie i systematycznie.

W ten sposób przejrzał: Montivilliers, Saint-Romain, Octeville, Epouville, Gourneville i Criquetot.

Każdego wieczora zachodził do wieśniaków prosząc o nocleg. Po wieczerzy palono fajki i gwarzono. Prosił ich, aby opowiadali mu bajki, jak to zwykli czynić zimą podczas długich wieczorów. A zawsze zadawał im podstępne zapytania:

— A o igle nie wiecie nic? Nie znacie bajki o wydrążonej igle?

— Nie, nie słyszeliśmy o niej....

— Namyślcie się.... może to bajka starych nianiek?.... Coś, co mówi o igle... może jaka zaczarowana igła... czy ja wiem?

Nie umiano mu odpowiedzieć. Zaś następnego dnia szedł dalej.

Zdarzyło się, że jednego dnia przechodził przez ładną wioskę Saint-Jouin, położoną tuż nad morzem, zeszedł więc między skały, które ciągną się, aż do brzegu, wyszedł na wzgórze i udał się doliną Bruneval w stronę przylądka Antifer, w stronę małej zatoki Belle-Plage. Szedł żwawo i lekko, choć trochę znurzony, lecz jakże szczęśliwy, że żyje! Taki czuł się wesół, że zapomniał o Arsenie Lupin, o tajemnicy Wydrążonej igły, o Wiktoryi, Holmesie, zajmował go tylko widok rozkoszujący jego oczy: błękit nieba, szmaragdowa toń morza przesycona jaskrawym blaskiem słońca.

Naraz zaintrygowały go pochyłości prostopadłe, jakoby resztki muru z cegły, gdzie zdawał się rozpoznawać ślady rzymskiego obozu. Następnie w małej odległości zauważył zameczek, na modłę starożytnych szańców, z wieżyczkami porysanemi, z wysokiemi gotyckiemi oknami, który był wzniesiony na przylądku wyząbkowanym, pagórkowatym i prawie, że zupełnie oddzielonym od skał nadbrzeżnych. Żelazna krata zaopatrzona kolczatym drutem, a obrosła krzewami, wzbraniała wejścia.

Nie bez trudności Izydor zdołał przejść. Nad gotycką bramą, której zamek był zżarty przez rdzę, widniał napis: Fort Tréffossés. Nie próbował otworzyć bramy, a skręciwszy w prawo — dotarł do wązkiej ścieżki zawisłej nad przepaścią, a obwiedzionej baryerą z drzewa. Ścieżką tą zeszedł w niewielką pochyłość i doszedł do małej pieczary, która tworzyła pewnego rodzaju odwach, wzniesiony na końcu skały, skały, która prostopadle wrzynała się w morze.

W samym środku pieczary można się było wyprostować. Na murach widniała niezliczona ilość napisów. Prawie czworograniasty otwór wykuty był w skale, przez który widok otwierał się na ląd, wprost na fort Fréfossés, położony w odległości trzydziestu lub czterdziestu metrów.

Beautrelet rzucił swój tobołek na ziemię i usiadł. Dzień był nadzwyczaj upalny i męczący, zasnął więc chwilę.

Dopiero ożywczy powiew wiatru, który wpadł do pieczary, przebudził go.

Kilka minut siedział nieruchomo, zapomniawszy, gdzie się znajduje. Starał się myśleć i zapanować nad pamięcią jeszcze w śnie pogrążoną. Przyszedłszy trochę do siebie, chciał właśnie się podnieść, gdy miał wrażenie, że oczy jego naraz powiększone i zdziwione, patrzały.....

Dreszcz po nim przeszedł. Ręce jego zacisnęły się i poczuł, że pot występuje mu na czoło.

— Nie... nie ... jąkał... to sen... to halucynacya... Zobaczmy, czyż byłoby to możliwe?

Raptownie ukląkł i pochylił się... i ujrzał dwie ogromne litery wykute w skale, mniej więcej na stopę każda.

Dwie te litery wyrzeźbione niewprawnie, lecz wyraźnie, a które czas zaokrąglił i wygładził, były: D. i F.

D. i F., to cud oszołomiający! D. i F., właśnie dwie litery wypisane w dokumencie. Ah! Beautrelet nie potrzebował spojrzeć na papier, aby przypomnieć sobie czwartą linijkę, która zawiera znaki i wskazówki! Miał je tak dobrze w pamięci! Na zawsze były wypisane w jego mózgu!

Wstał, zeszedł spadzistą drogą, szedł wzdłuż fortu, przeszedł z trudem przez sztachety i biegł szybko do pastucha, który opodal pasał trzodę na falistych wzgórzach.

— Ta grota, tam... ta pieczara... Usta jego drżały, szukając słów wyjaśnienia, których nie znały.

Pasterz na niego patrzał zdziwiony. Wreszcie Beautrelet zapytał:

Tak, ta pieczara... tam... na prawo od fortu... czy ma jaką nazwę?... z

— A, z pewnością... Ludzie z Etretat mówią, że to Demoiselles.

— Co?... co?... Co mówisz?

— A tak mówią, że to chambre des Demoiselles (pokój panien)....

Izydor byłby mu prawie skoczył do ócz, jak gdyby cała prawda spoczywała w tym człowieku, jak gdyby ją chciał wydrzeć za jednym zamachem...

Les Demoiselles. Jedno słowo, jedno z dwóch znanych słów dokumentu!

Jakiś szał obłędu uniósł go. Zdawało mu się, że wiatr się wzdyma w koło niego, że dmie jak huragan od morza, od lądu, który wpada na niego ze wszystkich stron, i chłosta go razami prawdy.

Rozumiał! Dokument przedstawiał mu się wyraźnie. La chambre des Demoiselles (pokój panien)... Etretat...

— To, to... myślał, mając umysł oświetlony... nie może znaczyć nic innego. Lecz jak mogłem tego od razu nie odgadnąć?...

Do pasterza zaś rzekł cichym głosem:

— Dobrze... odejdź... możesz odejść.. dziękuję..

Człowiek zadziwiony, gwizdnął na psa i oddalił się.

Beautrelet, gdy został sam, zwrócił swe kroki w stronę fortu. Prawie, że fort już okrążył, gdy naraz przykucnął na ziemi, przyciskając się do odłamu muru.

— Czyż oszalałem! myślał... Jeżeli on mnie widzi! Jeżeli jego wspólnicy mnie widzą! Toć od godziny chodzę tam i napowrót...

Nie ruszył się więcej.

Powoli słońce zaszło. Mrok zapadł w około i tylko kontury przedmiotów były widoczne.

Natenczas, poruszając się wolno, na brzuchu, prześlizgując, czołgając się, dotarł do jednego z końców przylądka, na sam brzeg skały.

A rozgarnąwszy kiście chwastu wyciągniętemi przez siebie rękoma, głową zawisnął nad przepaścią.

Naprzeciw niego, prawie równolegle z brzegiem, na pełnem morzu, wznosiła się olbrzymia skała, wysoka na jakie ośmdziesiąt metrów, kolosalny obelisk, wznoszący się na szerokim, granitowym fundamencie, który brał początek w głębinach morza. Obelisk ten zwężał się ku górze, jak kieł gigantyczny morskiego potwora. Skała ta biała, białością szarą i brudną, stała silna, pewna, okrutna, niezłomna na wściekłe napaście rozszalałego żywiołu. Całość była groźna i wielka, mimo wielkości nadbrzeżnych skał, które ją przewyższały; ogromna, mimo ogromu przestworza.

Beautrelet paznokcie wpiął w ziemię, jak pazury dzikiego zwierza, który gotuje się do skoku na swoją zdobycz. Oczy jego zdawały się przenikać granitową powłokę skały. Dotykał jej, poznawał i niejako brał ją w posiadanie.

Horyzont zajaśniał zorzą zachodzącego słońca, a długie obłoki owym blaskiem otoczone, stały nieruchomo, tworząc przecudne krajobrazy: laguny fantastyczne, płaszczyzny w płomieniach, jeziora z krwi i rozmaite fantasmagorye płomienne a spokojne.

Lazur nieba zaćmił się. Wenus zabłysła przedziwnem światłem, następnie ukazywały się gwiazdy, niepewne.

Naraz Beautrelet zamknął oczy i rękoma konwulsyjnie ściskał czoło. Tam — oh! myślał, że skona z radości, tak wzruszenie ścisnęło mu serce, bo tam, prawie z samego wierzchołka igły d'Etretat, ponad najwyższym czubkiem, w około którego krążyły mewy, ujrzał biały dym, który unosił się z jakiejś szczeliny, jakoby z niewidzialnego komina, biały dym, który wolno wzbijał się w górę i rozpływał powoli w cichym powietrza zmroku.

ROZDZIAŁ VII.

Igła d'Etretat była wydrążoną! Czy był to fenomen naturalny? wydrążenie spowodowane wskutek kataklizmów wewnętrznych, lub też siłą kotłujących fal? Czy może było to dzieło nadludzkich wysiłków, dzieło Gallów Celtów, ludów przedhistorycznych?

Pytania zapewne nie rozwiązalne. Lecz cóż to kogo obchodzi! Najgłówniejsza, że Igła była wydrążoną.

Czterdzieści do pięćdziesięciu metrów od tego wspaniałego łuku, który nosi nazwę Porty d'Aval, a który jak olbrzymi konar drzewa wyrasta ze skał podmorskich i sięga do samego szczytu nadbrzeżnej skały, wznosi się niezmierzony wapienny lejek, który nie jest czem innem jak tylko czapą spiczatą kory, postawionej nad próżnią!

Jest to odkrycie wielkiej wagi! Po Arsenie Lupin, otóż Beautrelet, który odgadł te ważne słowa dokumentu, które egzystują przeszło dwadzieścia wieków! słowa niezmiernej doniosłości, dla tych, którzy je ongi znali, w najodleglejszej epoce, w której to hordy barbarzyńców wędrowały przez stary świat! słowa magiczne, które otwierały jaskinię cyklopów całym plemionom uciekającym przed wrogiem! słowa mistyczne, które chroniły wejścia najpewniejszego schronienia! słowa czarodziejskie, które dają władzę i zapewne panowania!

Cezar znając je ujarzmia Galów. Normanowie ponieważ je znali, zapanowali nad krajem, stąd to, mając potężny punkt oparcia, zdobywają sąsiednią wyspę, zdobywają Sycylię, zdobywają Wschód, zdobywają nowy świat!

Anglicy znając sekret, panują nad Francyą, upokarzają ją i dzielą, koronują się królami w Paryżu. Lecz gdy go zgubili, zaczyna się ich klęska.

Zaś królowie Francyi znając ten sekret, rosną we władzę, rozszerzają szczupłe granice, powoli tworzą wielkie państwo, i jaśnieją sławą i siłą — lecz gdy utracili ową tajemnicę, lub nie umieli jej użyć, czeka ich śmierć, zesłanie, upadek.

Jest to niewidzialne państwo, na pełnem morzu, a oddalone o dziesięć sążni od ziemi!... Forteca nieznana, wyższa nad wieże Nortre Dame, a wzniesiona na granitowej podstawie, większej jak plac publiczny... Co za siła i jakie bezpieczeństwo! Z Paryża do morza dostać się można Sekwaną. Tam znajduje się Havre, miasto nowe i ważne. W oddaleniu zaś siedmiu mil wydrążona igła, nie jestże to schronienie niepochwytne?

Było to schronienie, lecz równocześnie pewna kryjówka. Wszystkie skarby królów, zbierane przez wieki, wszystko złoto Francyi, wszystko, co wydobyto z ludu, co wydarto Kościołowi, cały łup zdobyty na polach walki po przez całą Europę, wszystko to zapewne gromadzono w tej jaskini. Stare sous złote, talary błyszczące, dublony, dukaty, florentyny, gwineje i drogie kamienie, brylanty, i wszystkie klejnoty i ozdoby, wszystko to zapewne tam jest! Któż to odnajdzie? Któż kiedy odgadnie sekret o wydrążonej igie? Nikt.

A jednak, Lupin.

I Lupin staje się tem stworzeniem nadludzkiem, tym cudem niepojętym, dopóki nie znano prawdy. Nie wyczerpane źródła jego geniuszu, nie starczyłyby na prowadzenie zaciętej walki przeciw społeczeństwu. Do tego potrzebował pewnego schronienia, trzeba mieć pewność, że się nie będzie karanym, potrzeba spokoju, aby módz obmyśleć plan.

Bez wydrążonej igły, Lupin jest niepojęty, jest osobą z bajki lub romansu, nie mając związku z rzeczywistością. Znając zaś sekret i do tego jeszcze jaki sekret! Lupin jest człowiekiem jak każdy inny, tylko umiejącym po mistrzowsku władać bronią, w którą go Opatrzność uposażyła.

Tak Igła była wydrążoną, jest to fakt niezaprzeczony. Pozostaje tylko zbadać, w jaki sposób można do niej dojść.

Przez morze niezawodnie. Od strony morza musi być jakie dostępne miejsce dla łodzi, podczas niektórych godzin odpływu.

A od strony lądu?

Aż do godziny dziesiątej, Beautrelet został w pozycyi obserwacyjnej, utkwiwszy oczy w olbrzymim cieniu, który tworzyła owa piramida skalna i myślał i medytował, wszystkiemi siłami swego mózgu.

Następnie poszedł do Etretat, wyszukał najskromniejszy hotel, zjadł wieczerzę, udał się do swego pokoju i rozwinął dokument.

Teraz drobnostką było dla niego odgadnąć jego znaczenie. Zaraz zauważył że trzy samogłoski słowa Etretat znajdują się w pierwszej linijce. Pierwsza linijka tak się więc przedstawia:

e . a . a . etretat . a . .

Jakie słowo mogło poprzedzać *Etretat?* Prawdopodobnie słowo, które bliżej określi położenie wydrążonej Igły w stosunku, w jakim leży do wioski. Otóż Igła leżała bardziej na lewo, na zachód... Szukał, szukał i przypomniało mu się, że wiatr zachodni nazywano nad brzegiem vent (wiatr) d'aval, i że brama skalna nosi nazwę Port d'Aval, napisał więc:

En aval d'Etretat . a . .

(Na zachód od Etretat).

Druga linia posiadała słowo „Demoiselles" (panien) zauważył zaraz, że samogłoski stosują się doskonale, aby utworzyć słowa „la chambre des", zanotował więc dwa zdania:

En aval d'Etretat — La chambre des Demoiselles.

(Na zachód od Etretat — Pokój panien).

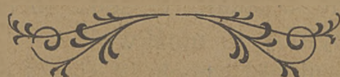
Namęczył się więcej, aby odczytać trzecią linijkę, lecz przypomniawszy sobie położenie owej pieczary „Demoiselles" w pobliżu fortu Frefossés odgadł prawie całkowity dokument:

En aval d'Etretat — La Chambre des Demoiselles — Sous le fort de Fréfossés — Aiguille creuse.

(Na zachód od Etretat — Pokój panien — pod fortem Fréfossés — wydrążona igła).

To były cztery formułki najgłówniejsze, które trzeba było znać. Za ich wskazówką, szło się na zachód od Etretat, wchodziło się do pieczary, zwanej „pokój panien" i podług wszelkiego prawdopodobieństwa przechodziło się pod fortem Fréfossés i dochodziło do wydrążonej Igły.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wśród walki z losem.

23) Wolny przekład z angielskiego przez S. B.

(Ciąg dalszy.)

— Nie.

— No, bardzo jakoś ku temu zmierza. Ona będzie mieszkała u matki pańskiej, pisuje do pana poufne listy, chce mieć pana swoim świadkiem i powszechnym doradcą — mówił dalej z lekkim sarkazmem — i — mrugnąwszy znacząco — jest niezmiernie bogata.

— Dobranoc — rzekł Walenty ze spokojem.

Mr. Wirtlow wybuchnął głośnym śmiechem i korzystając ze sposobności, poklepał Artura Barklaya poufale po jego szerokich barkach. — Jakiż z ciebie osieł, Arturze Barklay — zawołał.— Na honor, jesteś największym głupcem i niedołęgą, jakiego zdarzyło mi się kiedy widzieć. Merrick jest zaręczony z najpiękniejszą dziewczyną...

Artur Barklay nie odczekał końca tej głupkowatej przemowy; zaczerwieniony od złości pochwycił mr. Wirtlowa za chustkę, którą tenże miał naokoło szyi obwiązaną i uniósłszy w górę, potrząsał nim, jak piórkiem. — Nędzniku! uduszę cię, jak psa, jeżeli poważysz się choć jednem słowem jeszcze odezwać.

W tej niezbyt dogodnej pozycyi było mr. Wirtlowowi absolutnie niemożliwem odezwać się choć jednem jeszcze słowem, groźba więc najzupełniej zbyteczną była. Komisarz aukcyjny wił się, jak opętany i wierzgał nogami, usiłując nadaremnie wydobyć się z rąk Artura Barklay, ale w żelaznych jego kleszczach zupełnie był bezsilnym. Już Walenty miał przyjść w pomoc Wirtlowowi, gdy Artur wypuścił z rąk swą ofiarę i Wirtlow runął na posadzkę, na której w siedzącej postawie chwil kilka pozostał. Artur Barklay tymczasem, jakby nic nie zaszło, otworzył drzwi i zeszedł ze schodów, nie troszcząc się bynajmniej o swego towarzysza. Wyszedłszy na ulicę przystanął i czekał aż się mr. Wirtlow ukaże. Ten ujrzawszy stojącego przed bramą Artura, zawahał się, niepewny, czyliby nie wrócić na górę, by zażądać pomocy Walentego, namyślił się jednakże i zbliżył nieśmiało i ostrożnie do towarzysza.

— Muszę przyznać, że to nie zbyt po przyjacielsku było — wyjąkał.

— Dostałem gruczoł w gardle prawie tak wielki, jak orzech kokosowy.

— Niech to dla pana będzie nadal przestrogą i proszę to sobie zapamiętać, że musiałbyś być kim innym, a nie sobą, gdybyś się miał odważyć obrażać mię bezkarnie.

— Jeżeli towarzystwo moje jest panu niemiłem, mr. Barklay, to możesz pan powiedzieć to otwarcie — odpowiedział Wirtlow z lekką urazą.

— Tego dotąd jeszcze nie powiedziałem.

— Nie koniecznie jednak zdajesz się pan być niem zachwyconym — rzekł Wirtlow. — Odjadę do Clingford, jak tylko będę mógł najprędzej.

— Lepiej zrobisz, gdy poczekasz za mną — rzekł Artur głosem, w którym brzmiała groźba.

— Nie myślę o tem, nie mam do tego żadnego powodu —odpowiedział mr. Wirtlow z mocnem postanowieniem wypełnienia swego zamiaru. — Pan wiesz, panie Barklay, gdzie mnie możesz znaleść. Jestem człowiekiem powszechnie znanym i mogę śmiało powiedzieć — posiadającym wziętość w całem Clingford, a bez pańskiej osoby nie przepadnę, ani ja, ani mój interes. Nie mam do pana urazy i rad będę widzieć go u siebie, jeżeli mnie odwiedzić zechcesz. Dobranoc panu.

— Dokądże pan iść zamierzasz?

— Muszę iść poradzić się doktora na moje gardło zanim będzie z niem gorzej. Za jakie pół godziny możemy się zejść, jeżeli....

— Nie, dzisiaj wieczór chcę być sam — odrzekł Artur i odwróciwszy się odszedł powolnym krokiem. Wkrótce rozściełający się cień jakiegoś wielkiego gmachu zastawił go oczom Wirtlowa, który też nie miał najmniejszej ochoty gonić za nim.

Na moście Waterloo przystanął Artur. Stał tak zapatrzony w czarne wody Tamizy, oświecony promieniem gwiazd i chwytał chciwie ustami świeże nocne powietrze. Było już późno. Nielicznym przechodniom podpadała już zdaleka wyniosła jego postać, a podejrzliwy policyant stojący po przeciwnej stronie mostu bacznie mu się przypatrywał.

Mógł tak pogrążony w zadumie stać z jakie dobre pół godziny, gdy przechodzący mimo obdarty chłopak spostrzegłszy go, przystanął i po krótkiem wahaniu zbliżywszy się, poszarpnął lekko za połę surduta. W pierwszym momencie Artur Barklay nie zauważył tego, co widząc chłopak przemówił do niego, pytając, która godzina.

— Punkt dwunasta — odpowiedział spojrzawszy na zegarek.

— Dziękuję panu. Nie masz też pan przypadkiem z parę groszy dla biednego włóczęgi?

— Sam jestem biedny.

— Tak źle pewnie z panem nie jest, byś w swej sakiewce nie znalazł dla mnie choć szeląga. Pan z pewnością miałeś dzisiaj co do jedzenia.

— Miałem. A ty, nie?

— Nic, prócz zeschłej skórki chleba. Ale jutro jest sobota.

— Cóż to ma za związek jedno z drugiem?

— O, wtedy są ulice pełne ludzi, łatwiej się więc coś użebrze.

— Nie będziesz jutro tego potrzebował — rzekł Artur Barklay, i ku chłopaka nieograniczonemu zdumieniu wcisnął mu w rękę złoty pieniądz. Chłopak stał, jak wryty, oniemiały z radości i zadziwienia, Artur Barklay tymczasem, nie zważając dalej na niego, odwrócił się i wolnym krokiem szedł ku wybrzeżu.

Tu panował ruch w najlepsze. Przedstawienia w teatrach właśnie się były pokończyły i masy ludzi tłumami napełniały ulice. Machinalnie dobył Artur zegarek, chcąc się przekonać która godzina i spostrzegł, iż klucza od kufra mrs. Graves nie było u jego łańcuszka.

Następnego rana udał się natychmiast do Temple do mieszkania Walentego, ale nie zastał go już w jego biurze, lecz znajdował się na sądzie, jak mu pisarz Walentego

oznajmił dodając, że jeżeli ma do niego pilny interes, to może się tam z nim na kilka minut zobaczyć.

Artur poszedł tedy na sąd. Rozpytawszy cały zastęp urzędników i policyantów, natrafił w końcu na drugiego pisarza Merricka.

— Mr. Merrick ma teraz właśnie mowę — rzekł pisarz — broni jakiejś sprawy. Potrwa to jeszcze dość długo, zanim pan będziesz mógł widzieć się z nim.

— Poczekam.

— Możesz pan wejść na salę sądową, aby się przysłuchać.

—Nie, dziękuję, poczekam tutaj.

Pisarz skłonił się i powrócił na salę, a Artur pozostał w przysionku przechadzając się tam i napowrót. Wreszcie ukazał się adwokat w todze i peruce.

— No, mrs. Barklay, cóż pan powiesz nowego? — spytał — mam tylko dziesięć minut czasu, te należą do pana.

— Cóż to musi być za ciężkie zadanie, tak być wciąż pracą obciążonym.

— Dla mnie jest ono przyjemnem i wychodzi mi na dobre.

— Tak, przynosi panu korzyści i zjednywa sławę; imię pańskie powtarzają gazety, jest ono na wszystkich ustach — mówił dalej z lekkiem odcieniem zazdrości — ale mnieby to zabiło, nie mógłbym tak służyć każdemu.

— Czyś pan po to tylko odbył tak daleką przechadzkę, aby mi to powiedzieć? — spytał Walenty śmiejąc się.

— Nie, przyszedłem tutaj z dwóch powodów. Pierwszym jest ten, że zachowałem się wczoraj, jak błazen. Byłem nie całkiem trzeźwy i obraziłem pana we własnym jego domu. Żałuję tego i przepraszam pana.

— Nie ma o czem mówić — odpowiedział Walenty. — Uznanie własnej winy przez mężczyznę naprawia wiele złego. Mr. Wirtlow zdrów, mam nadzieję.

— Nie wiem i mało mię to obchodzi — rzekł Artur Barklay wpadając w zwykły sobie szorstki ton. — Wiedział dobrze, co go czeka, gdy mnie obrazi.

— A drugi powód jaki jest? — pytał Walenty.

— Chciałem się dowiedzieć, czy nie znalazłeś pan w swym pokoju jakiej rzeczy do mnie należącej?

— Tak jest, dwa guziki od kamizelki.

— W czasie tej niegodnej szermierki zgubiłem klucz od kufra mrs. Graves, lub też musiał mi go skraść chłopak, który mię wczoraj wieczór na moście Waterloo pytał o godzinę.

— U mnie żadnego klucza nie znaleziono.

— Złe zdaje się chcieć poczynać na nowo.

— Jesteś pan pesymistą?

— Jestem. Odbierając klucz z rąk tej starej kobiety czułem, że nadużyję jej zaufania, i że jej woli postąpię wręcz przeciwnie. Nigdy nie zrobiłem nic jak należy, to przechodzi moją możność.

— Klucz zdaje się być nader sztucznie skomplikowany, — rzekł Walenty — zawartość kufra jest prawdopodobnie pod dobrem zamknięciem.

— Jeżeliby o to chodziło, to mógłbym jednem uderzeniem pięści zgruchotać wieko — odrzekł Barklay.

— Pytałeś pan Wirtlowa?

— Wirtlowa? Jakto? przypuszczasz pan, że....

— Nic, nie przypuszczam — odpowiedział Walenty, — sądzę tylko, że wśród tej małej przyjacielskiej zabawki pomiędzy panami mógł go do siebie wziąć i prawdopodobnie odda go dziś panu napowrót.

— Widziałem się z nim jeszcze wczoraj wieczór przed domem pańskim, nic mi jednakże nie wspomniał o kluczu. Muszę natychmiast iść do niego — rzekł Barklay. Był to człowiek bez żadnych manier i nie posiadający najprostszych form towarzyskich. Własną tylko sprawą zajęty, ani słowa więcej nie rzekłszy do adwokata pozostawił go na kurytarzu, a wybiegłszy na ulicę, wskoczył do pierwszego lepszego fiakra i kazał pędzić co koń wyskoczy na Trinity Street, gdzie mr. Wirtlow zwykł był zakładać swą kwaterę. Mr. Wirtlow był w domu, jak mu hotelistka oznajmiła. Artur Barklay zastał go siedzącego w łóżku i płuczącego w gardle.

— Hajże! cóż to? Chory pan jesteś? — zapytał Artur Barklay wchodząc do pokoju.

— Mała rzecz, mr. Barklay, nie ma o czem mówić — odpowiedział Wirtlow zrezygnowanym głosem.

— Co panu jest?

— Gardło mnie boli, nic więcej. — Za dwa — lub trzy dni będzie dobrze — odpowiedział chory starając się być grzecznym. — Czy mogę pana poprosić, mr. Barklay, abyś był łaskaw buteleczkę z lekarstwem postawić na kominku? — Artur Barkley zrobił, o co go proszono, a Wirtlow wyciągnął się na powrót na łóżku i owinąwszy się kołdrą po same uszy patrzył na swego gościa żałosnym wzrokiem.

— Czegoż pan jeszcze żądasz odemnie, gdyś mnie o mało nie zadławił — ozwał się po niejakiej chwili.

— Posłuchaj mnie pan — rzekł Artur Barklay — w czasie tej bójki w pokoju Merricka zgubiłem klucz, który miałem u łańcuszka. — Czy nie wiesz pan przypadkiem co się z nim stało? Może go podniósłeś i schowałeś?

— Nie, — odpowiedział Wirtlow — ale przypominam sobie, że widziałem długi klucz wiszący u pańskiego łańcuszka.

— Wierzę temu, boś pan był dość ciekawy dowiadywać się, co to jest za klucz, jakkolwiek nie czułem najmniejszej ochoty, by ciekawość pańską zaspokoić.

— Ja byłem ciekawy? — zawołał Wirtlow.

— A teraz, ponieważ właśnie o kluczach jest mowa — rzekł Barklay — proszę mi powiedzieć, gdzie jest klucz od Weddercombe?

— Gdzież ma być? W Clingford. Czy sądzisz pan, że będę włóczył ze sobą klucze od wszystkich domów, które mam do wydzierżawienia?

— Kiedy wracasz pan do Clingford?

— Jeżeli tutaj od mych ciężko zasmuconych krewnych nie zostanę pogrzebanym, to powrócę, skoro tylko będę w stanie zawlec się na kolej.

— I kiedyż to nastąpi?

— Bóg to wie! Widzisz pan przecie, żem chory. Przypatrz się do czego mię doprowadziła twoja porywczość.

— Jeżeli pan jutro staniesz w Clingford dostaniesz odemnie 20 funtów. — Jeżeli nie, to drzwi wywalę.

— Zapomniałeś pan, że Weddercombe nie jest jeszcze jego własnością.

— Mrs. Barklay wybaczy to. Dwadzieścia funtów, Wirtlow, jeżeli jutro stawisz się w Weddercombe.

— Czy pan także jutro tam dotąd przybędziesz?

— Tak jest, pospiesznym pociągiem.

— Mam nodzieję, iż będę w stanie towarzyszyć panu — rzekł mr. Wirtlow z westchnieniem — wprawdzie przyjdzie mi to z trudnością. Dlaczego panu tak spieszno?

— Mam do tego powody, niech to panu wystarczy!

— Do usług, sir; nie chcę sobie zdobywać gwałtem zaufania pańskiego. Co zaś do owych dwudziestu funtów — mówił dalej — jest to w każdym razie oferta nie do pogardzenia, jakkolwiek biednym nie jestem i mogę się mierzyć z najpierwszemi osobami w Clingford. Postaram się zatem podążyć za panem późniejszym pociągiem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Prosimy odciąć i podać znajomym do prenumeraty!

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für den Monat März die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)
für 0,50 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 0,50 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.............................., den .... 1910.

Kaiserl. Post..............................